

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



**CZŁO-
WIEK
Z
NOMEN-
KLATU-
RY**

NR 29 (1232) ROK XXIV

19 LIPCA 1981 R.

CENA 7 ZŁ

czytaj str. 4-9

JAN NOSKO

NA DRODZE DO ZJAZDU

Nielatwo jest zreasumować dorobek łódzkiej organizacji partyjnej za okres od pamiętnych wydarzeń sierpniowych do tej historycznej chwili, jaką obecnie przeżywamy. Rzecz bowiem nie może dotyczyć się, li tylko, dorobku dyskusji przedzjazdowej, osiągnięć Łódzkiej Komisji i wszystkich innych gremiów, czy zespołów, które powstały i działały w minionych miesiącach. Idzie również o odpowiedź na pytanie: na ile zmienili się ludzie partii, jej członkowie i działacze, co rzeczywiście i jak głęboko zrozumieli z toczącego się w naszym życiu dramatu.

Sądzę, iż można uznać, jako niewątpliwie — potwierdziła to XXII Konferencja Programowo-Wyborcza KŁ PZPR i wszystkie poprzednie, w bieżącej kampanii, że członkowie łódzkiej organizacji partyjnej mają świadomość konieczności dokonania takich przekształceń w wewnętrznym funkcjonowaniu partii i takich zmian w treści, stylu i formach sprawowania przewodniej roli w państwie i społeczeństwie, które umożliwić będą — z powodów subiektywnych — powstawanie kryzysów i napięć o charakterze antagonistycznym, to znaczy kulminowania się sprzeczności w takiej skali, że grożą one — dziś jest to w pełni dostrzegalne — nie tylko zmianą kolejnej ekipy kierującą nawa partyjną i państwową ale poważną lub



Dalszy ciąg na str. 2

BEZPARTYJNI: LICZYMY NA ZJAZD!

Odbijający się IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR stał się nadzieją ostatniej szansy. Nie tylko członkowie partii z uwagą śledzą jego przebieg: obrady wzbudzają zainteresowanie także wśród bezpartyjnych. Dziś w kraju nie ma ludzi obojętnych, bowiem sytuacja ekonomiczna, a konkretnie rynek, jak nigdy dotąd kształtuje naszą świadomość.

Chcąc uzyskać odpowiedź na pytanie: czego spodziewasz się od zjazdu, zwróciłem się do

ludzi różnych zawodów, do ludzi nie będących członkami partii, sądząc, że ich wypowiedzi będą wyrażać poglądy opinii społecznej. Nasi rozmówcy byli zgodni co do jednego: zjazd partii musi opracować program wyjścia z kryzysu gospodarczego, musi dzwignąć kraj, rozładować napiętą sytuację, spowodować, że Polska ponownie odzyska utracony prestiż. Jednocześnie ich wypowiedzi są pełne niepokoju. Jeśli będą nawet znakomite programy — mówili — to kto da odpowiedź na pytanie: ile lat będziemy czekać aż znikną kolejki, zlikwiduje się kartki, przestaną obowiązywać reglamentacje?

W numerze drukujemy wypowiedzi dziesięciu naszych respondentów, ludzi z produkcji, z załad sklepowych, z obsługi.

Czytaj str. 4-5

EKSPORT - -IMPORT IMPORT - -EKSPORT

Tadeusz
Szczepanek

struktury inwestowania. Zdefiniowany system planowania i zarządzania pogłębia zdecydowanie negatywnie całą złożoność gospodarczo-społecznej sytuacji kraju, która jest wynikiem jednostronnego rozwoju przemysłu o dużym udziale gałęzi tradycyjnych.

Strategia inwestycyjna lat siedemdziesiątych

Na początku minionego dziesięciolecia (VI Zjazd PZPR) ponownie przedstawiono pro-

gram kształtowania nowej struktury w gospodarce i przemyśle. W polityce inwestycyjnej planowano znaczną koncentrację środków dla pogłębienia specjalizacji narodowej w skali rynku światowego. Oceniono też, że najsłuszniejszą formą międzynarodowej współpracy gospodarczej jest współpraca kooperacyjna i specjalizacja produkcji.

Specjalizacja narodowa oznacza wybór kierunków roz-

Ciąg dalszy na str. 6-7

O niepokojącej sytuacji zakładowych placówek upowszechniania kultury pisano i mówiono na długo przed Sierpniem. Działacze i publicyści wskazywali na przykłady nieliczenia się z potrzebami i aspiracjami robotników, na brak sprzężenia zwrotnego między załogami a mecenasami zakładowej kultury. Postulowano konieczność weryfikacji zasad podziału funduszy kulturalnych i sposobów ich wykorzystywania. Dość powszechne było przekonanie o niedopasowaniu modelu uczestnictwa ludzi pracy w kulturze do ich duchowego poziomu. Niestety, sygnały te pozostały bez echa.

Pod wpływem fali posierpniowej krytyki większość zakładowych placówek kultury stała przed dylematem: „być albo nie być”. Rozległy się głosy protestu przeciw zalewowi estradowej szmiry, akademickiej sztampy i wszelkiej mierności, jaką serwowały robotnikom zakładowe domy kultury, kluby i świetlice. Z drugiej strony zakłady znalazły się pod ciśnieniem wielu problemów społeczno-bytowych, których natychmiastowe rozwiązanie w bieżącym rachunku potrzeb było pilniejsze niż pomoc „dla kultury”. Jesienią 1980 roku dochodziło — a i dochodzi nadal — do odmawiania finansowania różnych placówek k-w przez zakłady pracy i nowe organizacje związkowe.

Tendencje te nie są zjawiskiem nowym, chociaż dopiero teraz uzyskały one tak ostry i masowy charakter, przybierając niejednokrotnie formę nie uzasadnionych zapędów likwidatorskich. Trzeba jednak przypomnieć, że wydatki na kulturę stanowiły zawsze najmniejszą (od 10 do 30 proc.), a zarazem najbardziej kłopotliwą część zakładowych funduszy.

Takie hasła jak „wczasy pracownicze”, „zapomogi”, a nawet „wycieczki” mogły zwykle liczyć na większe poparcie załóg niż dość nieokreślona „działalność kulturalna”. I tak też było. Poza tym z funduszy na kulturę najłatwiej dawało się wykroć nadwyżkę na finansowanie innych dziedzin polityki społecznej. Kiedy ostatnio podnoszono opłaty za wczasy, w wielu fabrykach poprzysuwano środki w funduszu socjalnym z działu „kultura-oświata” do działu „rekreacja-wypoczynek”. Zamrażano pieniądze przeznaczone na działalność zakładowych domów kultury (remonty), a „urwane” w ten sposób kwoty przeznaczano na wyrównywanie wyższych opłat za wczasy. Likwidowano jedne formy działalności (np. dobre prosperujące teatry robotnicze) po to, by zdo-

TOMASZ SOLDENHOFF

CZEKANIE NA MECE- NASA

być środki na inne (jak okolicznościowe imprezy dla uczczenia 35-lecia PRL, Międzynarodowego Roku Dziecka itp.).

Praktyki oszukiwania funduszy na kulturę przez dyrekcje zakładów (od których zależne były placówki k-w), przy częstej aprobacie rad zakładowych, były zjawiskiem nagminnym. W drugiej połowie 1980 roku do rozstrzygnięcia podobnych dylematów, wcześniej rozwiązywanych „po cichu”, zmuszone zostały nierzadko całe załogi. Ponadto do zjawisk tych dołączyły inne.

*

Do niedawna potencjał tzw. kultury zakładowej (niezbyt ściśle nazywanej czasem „związkową”) prezentował się wcale pokaźnie. Składało się nań w skali kraju m.in. 3.800 domów kultury, klubów i świetlic, 900 bibliotek, 400 kin i 7 tys. zespołów artystycznych oraz kół zainteresowań. Całość ta była finansowana z dwóch zasadniczych źródeł: funduszu socjalnego (2 mld zł rocznie) i ze składek związkowych (900 mln).

Po Sierpniu druga z wymienionych sum praktycznie niemal w całości zniknęła. Równocześnie wiele zakładów drastycznie zmniejszyło dotacje na kulturę z funduszu socjalnego.

Dalszy ciąg na str. 9

CZEGO OCZEKUJĄ OD ZJAZDU

Stefan Bratkowski
Prezes Stowarzyszenia
Dziennikarzy Polskich

Przed wszystkim ustalenie trybu współpracy kierownictwa życia politycznego z masowymi środkami przekazu lub, słusznie, porozumienia społecznego. Ustalenie polityki rozwoju słowa drukowanego, ponieważ Telewizja i Radio nie mogą przecież załatwić wszystkiego.

Natomiast w sprawach ogólnych oczekuje propozycji programu, który by dawał podstawy działania i był sprawdzalną ofertą dla całego społeczeństwa.

Najkrócej: Od IX Nadzwyczajnego Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oczekuje MADROŚCI.

Jan Józef Szczepański
Prezes Związku
Literatów Polskich

Nie jestem członkiem PZPR, ale zdaję sobie sprawę, że w rękach partii znajduje się klucz do wyprowadzenia kraju z kryzysu, toteż uważam, iż rzecz zasadniczą jest, żeby jej kierownictwo potrafiło zdobyć się na tyle wyobraźni, by dostosować swoją politykę do oczekiwań społeczeństwa. Mnie osobiście wydaje się, że jeden z podstawowych problemów polega na tym, aby pewne bariery — izolujące dotychczas społeczeństwo od partii — upadły, by demokratyzacja partii była ogólną funkcją demokratyzacji kraju.

W Związku Literatów nigdy nie usiłowałem wprowadzać podziału na pisarzy partyjnych i bezpartyjnych. Stoimy na stanowisku jedności kultury polskiej, szanowania różnych postaw i poglądów. Traktowanie ideologii i kultury narodowej jako sił konkurencyjnych to czysty nonsens. Uważam, że trzeba się wyżyć pewnego kompleksu właściwego pragmatycznie rozumującym politykom, którzy dopatrują się w swobodnym rozwoju kultury zagrożenie dla ideologii.

Panuje dość powszechne przekonanie, że w ciągu kilku miesięcy trwania uchu odnowy w Polsce, w samej partii zaszły daleko idące zmiany postaw wobec funkcji literatury. Mam nadzieję, że ten osobliwy pogląd, jakoby literatura była jednym z instrumentów propagandy — zdeaktualizował i skompromitował się już zupełnie. Istota kwestii natomiast polega na tym, jakie z tego rodzaju spóstrzeżeń wyciągają praktyczne konsekwencje.

Andrzej Szczepkowski
Prezes Związku
Artystów Scen
Polskich

Nie jestem członkiem partii, ale oczywiście z uwagą śledzę przygotowania do IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR, orzebranie dyskusji i głoszone w jej toku wnioski i postulaty, opinie o tezach programowych. Tak wiele przecież zależy od wniosków tego Zjazdu, od programu, który partia na tym Zjeździe przyjmie, od polityki, która wypracuje. Te świadomości ma chyba każdy.

Czego zaś my, aktorzy, oczekujemy od Zjazdu? Mówiłem na naszym aktorskim walnym

zjeździe (skrót mego wystąpienia drukowany był zresztą na łamach „Ekranu”), że dokonuje się dziś w Polsce proces głębokich przemian, demokratyzujący wszelkie dziedziny życia społecznego, że następuje odrodzenie tradycyjnych, a stale żywych wartości duchowych, tkwiących w kulturze polskiej i w nurt tych przemian włączyć się muszą — i włączają! — wszelkie dziedziny sztuki, a wśród nich sztuka teatru, pełniąc wyjątkową służbę społeczną. Mówiłem dalej, że warunkiem odrodzenia się sztuki teatru jako całości i sztuki artystów teatru jako jednostek twórczych jest odzyskanie wolności osobistej i swobody twórczej przez teatr i jego artystów, swobodne kształtowanie sztuki teatru w zależności jedynie od jego wewnętrznych praw rozwoju i prawdziwych potrzeb społecznych. Oczekujemy od Zjazdu partii, że ponad wszelką wątpliwość dowiedzie on woli partii, umacniania i rozszerzania tych demokratycznych przemian, wypływających przecież z humanistycznych zasad ustroju socjalistycznego. Innymi słowy: że, przyjmując taki właśnie program, prawdziwie humanistycznej, prawdziwie socjalistycznej polityki społecznej — wreszcie tym samym słusne zamierzenia i stworzy warunki sprzyjające ich pełnej realizacji.

Andrzej Wajda
Prezes Stowarzyszenia
Filmowców Polskich

Na Nadzwyczajny Zjazd PZPR filmowcy polscy spoglądają z ufnością. Mamy nadzieję, że na Zjeździe rozstrzygną się ostatecznie najważniejsze sprawy Polaków: zasada politycznego rozwiązywania wszystkich sporów społecznych, demokratyzacja życia, harmonijne ułożenie stosunków między władzą a społeczeństwem, uruchomienie zdławionych inicjatyw społecznych.

Są to dla nas, filmowców, sprawy najbardziej żywotne. Chcemy nadal realizować filmy, które mówią prawdę i tą prawdą zdobywała widownia polska i obca. To będzie możliwe jeśli przełamane zostaną bariery biurokratyczne i cenzuralne, jeżeli filmowcy poczują się w pełni odpowiedzialni za swój wysiłek i swój wkład do dzieła narodowej odnowy.

Józef Patkowski
Prezes Związku
Kompozytorów Polskich

W moim przekonaniu, środowisko kompozytorów i muzyków oczekuje od IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR decyzji w następujących, kluczowych sprawach:

- o utrzymanie płaszczyzny porozumienia społecznego, zapoczątkowanego decyzjami VI Plenum KC wobec robotniczego protestu polskiego Sierpnia 80 i pielęgnowanie harmonijnej współpracy ze zrodzonym z tego protestu masowym ruchem „Solidarność”;
- o pogłębienie odnowy życia społecznego w Polsce, a w szczególności przestrzeganie praworządności, ugruntowanie wolności słowa i poszanowanie niezależności społecznych organizacji i stowarzyszeń;
- o dokonanie wnikliwej analizy przyczyn powstawania w Polsce Ludowej cyklicznych kryzysów społeczno-politycznych i znalezienie mechanizmów skutecznie zapobiegających możliwości ich powtórzenia.

Na poprzedzającym Zjazd o cztery dni XII plenarnym posiedzeniu Komitet Centralny PZPR przyjął sprawozdanie ze swej działalności w okresie od poprzedniego Zjazdu. Jest w nim również rozdział poświęcony międzynarodowej działalności partii.

W ciągu ostatnich 16 miesięcy, bo tyle zaledwie czasu upłynęło od VIII Zjazdu, nastąpiło pogorszenie się klimatu w stosunkach między Wschodem i Zachodem i narastało zagrożenie dla pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach. Wynikało to przede wszystkim z podejmowania przez NATO prób uzyskania jednostronnej przewagi militarnej. Inicjatywy radzieckie, mające na celu ograniczenie zbrojeń nuklearnych i konwencjonalnych, nie zostały podjęte przez państwa zachodnie. Wzrasta więc groźba nowego etapu wyścigu zbrojeń. Dla Polski szczególnie niebezpieczne są decyzje NATO o rozlokowaniu w centrum Europy nowego rodzaju rakiet produkcji amerykańskiej z głowicami atomowymi. Zagrożają one bezpośrednio naszemu bezpieczeństwu.

W okresie 16 minionych miesięcy tempo i zakres międzynarodowej współpracy naszej partii osłabły. Wynika to przede wszystkim z potrzeby skoncentrowania uwagi na problemach wewnętrznych, wynikłych z lipcowo-sierpniowych wydarzeń w ub. roku. Wcześniej nasza partia była łącznie z Francuską Partią Komunistyczną inicjatorem spotkania partii komunistycznych i robotniczych Europy, które

- o sposób wyjścia z katastrofalnej sytuacji gospodarczej kraju, lecz nie kosztem ludzi starych rodzin wielodzietnych i wszystkich żyjących poniżej minimum socjalnego.
- o ugruntowanie demokratycznych przemian w łonie partii dokonanych w ostatnim czasie; w naszym przekonaniu demokracja w partii warunkuje demokrację życia społecznego w Polsce,
- o odrzucenie ekstremów szermujących skompromitowanymi hasłami nacjonalizmu i antysemityzmu typu towarzysza „Grunwald” oraz nikczemnych ulotek i pisemek jak np. „Marginesy”,
- o przywrócenie stosownej rangi kulturze w życiu narodu — zgodnie z autentycznymi potrzebami, manifestowanymi wielokrotnie przez polską klasę robotniczą od Sierpnia 1980
- o otoczenie szczególną troską powszechnej edukacji narodowej: nie zakłamej, pełnej otwartej i dostępnej w jednolitej mierze dla każdego polskiego dziecka.

Mamy także nadzieję, że program partii po IX Nadzwyczajnym Zjeździe nie zapomni o sztuce muzycznej, której rola w życiu duchowym narodu znacząca dziełami Mikołaja z Radomia, Gomółki, Szarzyńskiego, Kurpińskiego, Chopina, Moniuszki, Wieniawskiego, Karłowicza, Szymanowskiego, Baciewiczówny, Serockiego, Lutosławskiego, Bairda i Pendereckiego jest nie do przecenienia.

Jerzy Puciata
Prezes Związku
Polskich
Artystów Plastyków

Uwagi, jakie pozwalam sobie przedstawić, korzystając z zaproszenia redakcji są moimi osobistymi refleksjami.

Oczekuję, że dążenia narodu polskiego wyrażane pełnym głosem od Sierpnia 1980 roku znajdują należne miejsce w programie partii.

W głębokim przekonaniu, że kultura jest celem i jednym z podstawowych uwarunkowań prawidłowości rozwoju społecznego, spodziewam się programu, który da nowe możliwości swobodnego rozwoju kultury narodowej w warunkach ustroju socjalistycznego, uznania całego procesu rozwoju ekonomiczno-społecznego za integralną całość, bez podziału na sferę produkcyjną (kultura, oświata, zdrowie). Tylko w ten sposób można stworzyć realne możliwości równoczesnego podnoszenia kultury materialnej i duchowej społeczeństwa.

Równorzędność tych dwóch sfer życia społecznego pozwoli na określenie obowiązków państwa wobec twórców i suwerennych praw społeczeństwa. Powinien iść za tym konkretny plan stwarzania podstawowych warunków uprawiania twórczości (nadabrania wieloletnich zaniedbań) i warunków dwustronnej wymiany idei twórczych i dzieł między artystą a odbiorcą.

Oczekuję, aby sformułowana w partii o przyszłą uchwałę IX Zjazdu nowa polityka społeczna określiła:

- miejsce i rolę twórczości plastycznej w życiu społeczno-gospodarczym
- zapewniła istnienie otwartego mecenatu państwowego i warunki powstawania mecenatu społecznego i prywatnego.
- usunęła administracyjne, instytucjonalne i prawne bariery rozwoju sztuki

Oczekuję merytorycznej i praktycznej rozwiązania wielokrotnie przedstawianych kolejnym Zjazdom, władzom PZPR i państwa nie podjętych dotychczas postulatów ZPAP a szczególnie w sprawach:

- I — stosunki ZPAP — władze państwowe
- Społeczny status Związku — respektowanie jego funkcji opiniotwórczych i inspiratorskich.
- II — promocji i upowszechniania twórczości plastycznej poprzez zahamowanie bezrobocia i poszerzenie rynku pracy; rozwój edukacji poprzez sztukę; wzornictwo przemysłowe; problematykę informacji i tzw. propagandy wizual-

odbyło się w Paryżu. Przyjęto na nim apel o pokój i rozbrojenie, adresowany do wszystkich sił postępowych i nawołujący do współdziałania w rozwiązywaniu tych najważniejszych spraw dla naszego kontynentu.

Po wybuchu kryzysu międzynarodowa współpraca PZPR ograniczała się przede wszystkim do naszego udziału w zjazdach bratnich partii i dwustronnych kontaktów, których celem było m. in. wyjaśnianie sytuacji w Polsce. Bratnie partie żywo bowiem interesują się procesem socjalistycznej odnowy, wykazują zrozumienie dla przyjętego programu działań PZPR i okazują nam pomoc w wyjściu z kryzysu. Ale są one też zaniepokojone występowaniem w Polsce objawów anarchii i atakami sił antysocjalistycznych. Z troski o rozwój sytuacji i perspektywy ustroju socjalistycznego w naszym kraju zrodził się znany list Komitetu Centralnego KPZR. Jak wiadomo, XI Plenum KC potwierdziło zgodność ocen obu partii.

Sytuacja w Polsce spowodowała znaczny wzrost zainteresowania partii komunistycznych w krajach kapitalistycznych rozwojem wydarzeń. Pojawiały się różne oceny przyczyn i przebiegu rozwoju sytuacji, starannie przez nas analizowane. Dziękujemy się swoim poglądom, wyrażaliśmy nasze stanowisko, przekazywaliśmy dokumenty i informacje.

nej, plastykę w środkach masowego przekazu; aktywizację rynku handlu sztuką w kraju i zagranicą; eksport dzieł i myśli projektowej, szkolnictwo artystyczne i jego funkcje społeczne (instytucjami, promocji i upowszechniania są: muzea, galerie, Centrum Sztuki Współczesnej, wydawnictwa artystyczne, wymiana zagranicą, zasady organizacji ruchu wystawowego).

III — status społeczno-zawodowy artysty plastyka: rewindykacja praw twórczych w świetle zaleceń UNESCO dotyczących sytuacji artysty w społeczeństwie. (...)

(—) Potrzeby naszego środowiska są częścią potrzeb całego społeczeństwa polskiego. Oczekujemy zapowiedzi, że w 1982 r. partia zorganizuje Ogólnokrajową Konferencję Partijną na temat Programu Rozwoju Edukacji i Kultury Narodowej w Polsce do 2000 roku.

Robert Satanowski
Prezes Stowarzyszenia
Polskich
Artystów Muzyków

(—) Niedawny IX Walny Zjazd Delegatów SPAM, na którym powierzono mi funkcję prezesa, sformułował wiele wniosków dotyczących form udziału naszej organizacji w życiu muzycznym kraju. Za podstawowe w tym bardzo bogatym i dynamicznym programie uważam dwa kierunkowe działania.

Aby zapewnić rozwojowi kultury muzycznej optymalne warunki i klimat, musimy osiągnąć właściwą płaszczyznę współdziałania z tymi wszystkimi instytucjami i intencjami, które sprawują w naszym kraju mecenat, a więc z Ministerstwem Kultury i Sztuki, Wydziałami Kultury rad narodowych, ale i sejmową Komisją Kultury, Komitetem ds. Radia i Telewizji i in.

Po które należy zburzyć i zbudować od nowa to, co nazywało się systemem upowszechniania muzyki. Działamy ciągle w schemacie XIX-wiecznym, stworzonym przez społeczeństwa mieszczańskie. Konieczne jest wyjście poza mury własnych siedzib, zerwanie z obecnym sposobem traktowania zadań artysty teatru czy artysty muzyka. Nie chodzi bynajmniej o pomnożenie liczby festiwali ani o gościnne występy w ramach „usług”, ale o stałe formy zbliżenia sztuki do odbiorców. To, o czym mówię, nie jest jeszcze sprzeczowane, ale urzeczywistnienie podobnej idei najbardziej serio zaprzęta dziś wielu ludzi kultury. W naszych warunkach wymagałoby to także zmiany całego szeregu przepisów. Obecnie, kiedy artysta występuje poza teatrem, jego praca jest opłacana przez organizatorów różnych imprez, bądź jest „pracą społeczną”. Chodzi o to, żeby nasze działania na zewnątrz przestały być traktowane jako nadprogramowe zajęcie artysty, a weszły w zakres obowiązków podstawowych. Modyfikacje te nie powinny jednak dokonywać się kosztem artysty, dlatego trzeba pomyśleć o innym systemie płac, o zmianie struktury organizacyjnych.

O przyszłości muzyki nie można też poważnie mówić bez natychmiastowych decyzji dotyczących naszego instrumentarium. Braki są tu ogromne, a wydaje się możliwe do zlikwidowania.

Mimo wielu obaw, nieuniknionych przy tak rozległym programie odnowy, jestem optymistą. To, co się już dokonało jest imponujące: w psychice społeczeństwa, narodu w jego sposobie myślenia i odczuwania nastąpiły nieodwracalne zmiany. I jakkolwiek potoczą się nasze losy, tego wewnętrznego przeobrażenia nie już nie przekreśli. Oby tylko każdy z nas potrafił zdobyć się na tyle godności, by nie wnieść na publiczne ołtarze osobistych kryzysów, by unieść czasami rezygnację ze własnych, nawet usprawiedliwionych, aspiracji. Tylko wolni od zapamiętania w siebie, we własne jednostkowe i środowiskowe bolączki nie stracimy perspektywy, nie zgubimy z oczu naszej wspólnej wielkiej sprawy.

(Ekran)

Rozpoczął obrady IX Nadzwyczajny Zjazd partii. Jego celem jest wypracowanie dróg wyjścia Polski z kryzysu, zapewnienie systemu gwarancji, aby kryzysy się nie powtarzały oraz wybranie nowych władz partyjnych. Zjazd

TYDZIEŃ W POLITYCE

ma charakter roboczy i uczestniczą w nim delegacje partii państw sojuszników w liczbie 12. Występują na nim również wanki międzynarodowe, co — rzecz jasna — wynika nie tylko ze złożoności sytuacji zewnętrznej i jej wpływu na bieg wydarzeń w naszym kraju, ale przede wszystkim z miejsca Polski w świecie i jej roli w ustabilizowaniu pokoju.

W ciągu ostatnich 16 miesięcy, bo tyle zaledwie czasu upłynęło od VIII Zjazdu, nastąpiło pogorszenie się klimatu w stosunkach między Wschodem i Zachodem i narastało zagrożenie dla pokojowego współistnienia państw o różnych ustrojach. Wynikało to przede wszystkim z podejmowania przez NATO prób uzyskania jednostronnej przewagi militarnej. Inicjatywy radzieckie, mające na celu ograniczenie zbrojeń nuklearnych i konwencjonalnych, nie zostały podjęte przez państwa zachodnie. Wzrasta więc groźba nowego etapu wyścigu zbrojeń. Dla Polski szczególnie niebezpieczne są decyzje NATO o rozlokowaniu w centrum Europy nowego rodzaju rakiet produkcji amerykańskiej z głowicami atomowymi. Zagrożają one bezpośrednio naszemu bezpieczeństwu.

W okresie 16 minionych miesięcy tempo i zakres międzynarodowej współpracy naszej partii osłabły. Wynika to przede wszystkim z potrzeby skoncentrowania uwagi na problemach wewnętrznych, wynikłych z lipcowo-sierpniowych wydarzeń w ub. roku. Wcześniej nasza partia była łącznie z Francuską Partią Komunistyczną inicjatorem spotkania partii komunistycznych i robotniczych Europy, które

odbyło się w Paryżu. Przyjęto na nim apel o pokój i rozbrojenie, adresowany do wszystkich sił postępowych i nawołujący do współdziałania w rozwiązywaniu tych najważniejszych spraw dla naszego kontynentu.

Po wybuchu kryzysu międzynarodowa współpraca PZPR ograniczała się przede wszystkim do naszego udziału w zjazdach bratnich partii i dwustronnych kontaktów, których celem było m. in. wyjaśnianie sytuacji w Polsce. Bratnie partie żywo bowiem interesują się procesem socjalistycznej odnowy, wykazują zrozumienie dla przyjętego programu działań PZPR i okazują nam pomoc w wyjściu z kryzysu. Ale są one też zaniepokojone występowaniem w Polsce objawów anarchii i atakami sił antysocjalistycznych. Z troski o rozwój sytuacji i perspektywy ustroju socjalistycznego w naszym kraju zrodził się znany list Komitetu Centralnego KPZR. Jak wiadomo, XI Plenum KC potwierdziło zgodność ocen obu partii.

Sytuacja w Polsce spowodowała znaczny wzrost zainteresowania partii komunistycznych w krajach kapitalistycznych rozwojem wydarzeń. Pojawiały się różne oceny przyczyn i przebiegu rozwoju sytuacji, starannie przez nas analizowane. Dziękujemy się swoim poglądom, wyrażaliśmy nasze stanowisko, przekazywaliśmy dokumenty i informacje.

W węzłowych kwestiach odprężenia i rozbrojenia utrzymywaliśmy robocze kontakty z partiami socjalistycznymi i socjaldemokratycznymi.

IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR wzbudził duże zainteresowanie w świecie. W licznych komentarzach podkreśla się jego znaczenie dla losów Polski, dróg rozwiązywania poważnych problemów, jakie występują w naszym kraju oraz jego międzynarodowej pozycji.

Jest to zrozumiałe. Odgrywałyśmy i możemy odgrywać nadal dużą rolę na arenie międzynarodowej, wznosząc tendencje pokojowe i służąc odprężeniu w stosunkach między państwami. Słowo: Polska łączy się jednoznacznie z działaniami na rzecz gruntownego pokoju i zapewnienia bezpieczeństwa narodów. Rozumieją to przyjaciele naszego kraju, ale także ci, którzy chcieliby wprowadzić świat na krwawą wojnę i konfliktować państwa. I właśnie oni również wskazują „zainteresowanie” Polską, ale to jest różące rozbieżne z narodowym interesem Polaków.

W. SŁAWSKI

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), JERZY KATARASIŃSKI (z-ca redaktora naczelnego), EUGENIUSZ IWANICKI (sekretarz redakcji) oraz zespół RYSZARD BINKOWSKI, TADEUSZ BLĄŻEJEWSKI, KONRAD FREJDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JACEK INDELA, RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, MAREK MIHLER, JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SÖLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny).

Stale współpracują: TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, EWA PANKIEWICZ, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI.

Korekta: MARIA GRABSKA, KRYSZYNA SARDECKA.

Dalszy ciąg ze str. 1

nawet całkowitą zmianą założeń ustrojowych, sprzecznych z socjalistycznym systemem ludowładztwa.

W dyskusji przedzjazdowej dążenia do ukształtowania precyzyjnych mechanizmów życia wewnątrzpartyjnego ogniskowały się głównie wokół problemu wzajemnych stosunków i korelacji pomiędzy bazą partyjną a organami wybieralnymi od szczebla podstawowego do najwyższego. Przy czym godzi się zauważyć, że w aspekcie historycznym, dążenia te potęgowały się tym mocniej, im perspektywa szybkiego zwolnienia i odbycia IX Zjazdu wyraźnie się oddalała.

Na atmosferę i przebieg dyskusji ogromną rolę, miały wpływ te wszystkie wydarzenia i czynniki, które współtworzą i określają obecną sytuację i klimat polityczny w naszym kraju. Trzeba zatem pamiętać o dialektycznej więzi pomiędzy tym co zmieniało się w ogólnym układzie sił społecznych i politycznych a zachodzącymi przemianami w postawach i poglądach członków partii.

Od ubiegłego roku niezwykle silnym nurtem przejawiającym się w życiu wewnątrzpartyjnym były dążenia do przyspieszenia procesu odbudowy ideowo-moralnej siły partii. We wrześniu i październiku do Komitetu Łódzkiego wpłynęło wiele wniosków i propozycji dotyczących sposobów rozwiązywania konfliktu politycznego, których autorzy, zbiorowi (POP, KZ) lub indywidualni kreśliли własną wizję działań przywracających zaufanie społeczeństwu do partii, wzrostu jej autorytetu i siły.

W istocie rzeczy propozycje te zmierzały do nadania partii rewolucyjnego charakteru i dynamiki działań, cechującą partię walczącą, nie tylko z własnymi słabościami i schorzeniami: dogmatyzmem i sektaryzmem, powolnością i brakiem zdecydowania, ale również — co jest bardzo ważne — z przeciwnikami politycznym, partią tworzącą swojej klasie, warunki dla przewodzenia w duchu socjalistycznej odnowy. Między innymi proponowano, jeszcze we wrześniu ub. r. powołanie komisji specjalnej lub partyjnego trybunału w celu szybkiego rozpatrzenia przyczyn i ustalenia winnych kryzysu. Jako szczególnie ważne — dla odzyskania przez partię społecznego zaufania — uznano, możliwe szybkie odcięcie się od wszystkich tych, którzy nadużywając władzy lub też w inny, nieuczciwy sposób, wzbogacili się kosztem społeczeństwa. Likwidacja nawisu korupcyjnego obciążającego wielu członków partii to jedno z najistotniejszych problemów podnoszonych w dyskusjach. W naszym województwie, jakkolwiek nie doszło do tak drastycznych wynaturzeń, jak w szeregu innych ośrodkach kraju, niemniej wyczuwanie łódzkiej klasy robotniczej na problemy czystości moralnej jest powódźbieralnym ostrzejsze niż gdzie indziej, albowiem pamięć o straszliwej łódzkiej biedzie i wyzisku, o bogactwie i nędzy z poprzedniego ustroju ukształtowała silne i trwałe zasady oraz wymagania — zwłaszcza pod adresem tych, którzy w imieniu tej klasy sprawują władzę — uczciwości i skromności.

Ogromne znaczenie dla przyspieszenia procesu umacniania się partii przywiązywano do odbycia w szybkim terminie IX Zjazdu oraz przeprowadzenia kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Łódzka instancja partyjna identyfikując się z tymi postulatami przyjął, w uchwale z 17 listopada ub. r. szereg postanowień, które dawały wyraz tym dążeniom pozwalającym na szybkie wychodzenie z kryzysu wewnątrzpartyjnego.

Z perspektywy minionego czasu trzeba ocenić, że błędem było opóźnienie terminu kampanii wyborczej zarówno w wojewódzkiej organizacji, jak i w całej partii. Zwlekając z ustaleniem terminu IX Zjazdu oraz z kampanią przedzjazdową do prowadzono do narastania powszechnej nieufności pomiędzy szeregowymi członkami partii a ich władzami. W konsekwencji narodziła się uczuciowa i doświadczonych działaczy na wszystkich szczeblach struktury partyjnej, na miarę tych, którzy bronią swoich, jak to określano — „stółków i przywilejów”. Ponadto, w miarę upływu czasu, coraz częściej pojawiały się pytania: dokąd zmierzamy i ku czemu idziemy? Czym jest z ideologicznego i politycznego punktu widzenia obecny „zakręt”? Czy tylko robotniczym protestem przeciwko wypaczeniom władzy, czy też swoistą rewoltą z wszelkimi symptomami walki o władzę? Brak jasnej strategii i taktyki partii w zaistniałej sytuacji wywoływał ogromne różnicowanie w ocenach powstających wydarzeń. Członkowie partii nie mając precyzyjnej informacji lub nie znając rzeczywistych zamierzeń kierownictwa partii zajmowali bardzo często odwrotne, od przyjętego przez to kierownictwo stanowisko, w wielu

sprawach. Na codzienną praktykę w tej dziedzinie ogromny wpływ wywierały konsekwencje polityczne kolejnych startów pomiędzy nowymi związkami a administracją państwa i gospodarczą oraz zajmowane stanowisko centralnych władz partyjnych, przed i po kolejnych konfliktach. Do IX Plenum KC PZPR sytuacja przedstawiała się zazwyczaj w ten sposób, że w początkowej fazie konfliktu władze te zajmowały, jak gdyby, nieustępliwie stanowisko, do którego obligowano instancje i organizacje partyjne, po czym wycofywano się, najczęściej na całej linii, wywołując tym fałsz niezadowolonych wśród aktywistów i członków partii, którzy w związku z tym coraz mniej mieli zaufania do swoich władz zwierzchnich czując się zawiedzionymi a nawet oszukanymi. Sądzę, że była to jedna z głównych przyczyn, tak silnego trendu, który zaznaczył się w trakcie wyborów — przestrzegania zasady aby kandydat posiadał mandat własnej organizacji oraz niewybijania do władz spoza delegatów. Z drugiej strony, na kształtowanie się postaw i zachowań członków partii niebagatelną rolę — aczkolwiek za wcześnie jest na pełną ocenę tego problemu — miał wpływ doniosły fakt, jakim jest rozbięcie ruchu zawodowego i powstanie NSZZ „Solidarność”. Uznając zaistniałe zmiany w tej dziedzinie zarówno Komitet Łódzki, jak i zakładowe organizacje partyjne stanęły na stanowisku działania w imię jedności politycznej, to znaczy jednemu na gruncie ustrojowych zasad Polski Ludowej. Wychodząc z tego założenia dążono do ułożenia partnerskich stosunków ze wszystkimi związkami zawodowymi. W stosunku do NSZZ „Solidarność” starano się przede wszystkim przełamać istniejące uprzedzenia i nieufność, czemu dawano wyraz zarówno w oficjalnych dokumentach, jak i na spotkaniach, w zakładach pracy i instytucjach oraz w bezpośrednich kontaktach między kierownictwem łódzkiej instancji a MKZ.

Kiedy mówimy o codziennych postawach, to trzeba jednak uwzględnić tę część działalności, szczególnie propagandowej NSZZ „Solidarność” Ziemi Łódzkiej, która forsowała treści jawne reakcyjne, akcentujące nie tylko sentymenty dawno przeżrane ale nierzadko antykomunistyczne i antyradykalistyczne. Znajdowało to, i w dalszym ciągu znajduje swój wyraz w działalności wydawniczej i różnych formach propagandy wizualnej. Sposób organizowania strajków, pojawiające się metody zastraszania, ataki na członków partii — wszystko to wywoływało określone reperkusje w obojętności partyjnych.

W minionym okresie organizacje partyjne i związkowe oraz całe załogi przeżyły niejedną trudną chwilę. Najostrejsze przeżywało strajk ostrzegawczy 27 marca. Narastał paradoks — świadomość szkodliwości strajków dla państwa i narodu, a jednocześnie ludzie pracy z ogromną determinacją brali w nich udział. Przebieg wydarzeń w województwie miejskim łódzkim wykazał, że wśród robotników rośnie przeświadczenie, że zaistniałe rozbieżności, nieufność i podziały są w istocie rzeczy sztuczne i wręcz niematURALNE, i że interesy poszczególnych odłamów klasy robotniczej w swych zasadniczych ramach są tożsame. To zjawisko zostało dostrzeżone przez Komitet Łódzki, co znalazło wyraz zarówno w referacie, jak i w uchwale przyjętej na kwietniowym plenum. Zalecono wówczas aby jednym z najważniejszych zadań rozpoczynającej się właśnie kampanii sprawozdawczo-wyborczej w partii było pogłębienie współdziałania i zacieśnienie więzi pomiędzy organizacjami partyjnymi, a związkami zawodowymi. XXII Konferencja Programowo-Wyborcza KŁ w pełni potwierdziła słuszność takiego podejścia do tego ważnego problemu.

Zaryzykowałbym następujące uogólnienie sytuacji charakteryzującą całokształt stosunków pomiędzy łódzką organizacją partyjną a związkami zawodowymi. W pełni partnerski charakter kontaktów na wszystkich szczeblach osiągnięto ze związkami branżowymi i autonomicznymi, gdy chodzi zaś o NSZZ „Solidarność”, to najlepiej jest (co nie znaczy że jest dobrze) w zakładach pracy i instytucjach, natomiast na szczeblu wojewódzkiej instancji oraz zarządu regionalnego, w dalszym ciągu występuje niemały dystans. Sądzę, że okolicznością nie sprzyjającą, jest w dalszym ciągu brak jasno sprecyzowanej doktryny tego związku, która, póki co, w sferze projektów, zakłada również przedsięwzięcia i cele, stojące w sprzeczności z podpisanymi porozumieniami i pryncypiami natury ustrojowej. Potraktowałem nieco szerzej, chociaż daleko niewystarczająco problem wzajemnych stosunków pomiędzy ogniwami partyjnymi a związkowymi, gdyż zarówno charakter jak i treść tych stosunków w istotny sposób rzutowały na atmosferę i klimat, a także na postawy polityczne członków partii. Cechą charakterystyczną tych postaw —

zwłaszcza w ostatnich miesiącach jest to, że daleko mniej lub w ogóle nie akcentuje się — przynajmniej nie obserwowano tego na konferencjach partyjnych — podziałów wynikających z przynależności związkowej, co więcej, na niejednej konferencji, w tym także i na łódzkiej uznawano za zbędne informacje o strukturze związkowej delegatów. Jak jest faktycznie, czy są różnice, i jaka jest ich skala pokażą najbliższe tygodnie.

Zarysowane wyżej niektóre elementy ogólnych warunków życia partyjnego spowodowały, że w strukturze napiętych do Zespołu Statutowo-Organizacyjnego wniosków i postulatów zdecydowaną

temu warunki — główne antynomie polskiej drogi do socjalizmu. A więc sprzeczność pomiędzy celami perspektywistycznymi a doraźnymi, pomiędzy dyscypliną, a demokracją i wolnością osobistą obywateli, między narodowym charakterem, zdeternowanym historycznie ukształtowaną tradycją kulturową, tradycjami walk o niepodległość i wyzwolenie społeczne a potrzebą przestrzegania ogólnych prawidłowości budowy socjalizmu, wreszcie pogodzenie narodowych kompleksów wobec kultury i rozwoju cywilizacyjnego Zachodu a koniecznością zachowania ścisłych więzi z klasowymi sojusznikami, szczególnie z krajami socjalistycznymi, ze Związkiem Radzieckim — naszym najbliższym i najpotęż-

stwarzanie możliwości zmiany kwalifikacji i adaptacji zawodowej.

Łódzka organizacja partyjna wypracowała także stanowisko w kluczowych sprawach bytowych i rozwojowych województwa miejskiego łódzkiego. W tej dziedzinie do najważniejszych problemów, które będą podjęte przez łódzkich delegatów na IX Nadzwyczajnym Zjeździe to: stworzenie lepszych warunków dla zapewnienia zaspokojenia w stopniu niezbędnym zaopatrzenia w artykuły żywnościowe poprzez rozszerzenie strefy żywicielskiej, następnie — zagadnienie likwidacji trzeciej zmiany w przemyśle lekkim, budownictwo mieszkaniowe, szczególnie dla młodych małżeństw, wreszcie dalszy rozwój infrastruktury miejskiej. Trzecim, szczególnie ważnym nurtem dyskusji przedzjazdowej to wiele zagadnień ideologicznej natury. W tej mierze pierwszoplanowym okazał się problem charakteru partii i jej roli w państwie i społeczeństwie. Od jesieni ub. r. trwała w łódzkiej organizacji partyjnej na ten temat szeroka i żarliwa dyskusja. Po raz pierwszy, w historii naszej organizacji powyższe zagadnienie uzyskało tak szeroki i powszechny rezonans. Toczyła się spontaniczna, oddolna dysputa sięgająca do korzeni ruchu socjalistycznego i komunistycznego, poszukująca własnych ocen przyczyn zaistniałego kryzysu i, jak już wcześniej wspominałem — dróg wyjścia. Wskazywano na wieloletni brak patriotyzmu i internacjonalizmu, partię faktycznie urzeczywistniającą wolę swoich członków i zapewniającą im pełnię praw statutowych. Przyjęte przez XXII Konferencję KŁ dokumenty jednoznacznie wskazują, że odrzucono pewne przejawy tendencji socjaldemokratycznych, które zarysowały się w dyskusji w okresie mijających miesięcy.

Pośród innych problemów dyskusowanych w ostatnim półroczu to: marksizm a religia, partia a wierzący, przewodnia rola partii w państwie i społeczeństwie, współpraca gospodarcza Polski ze Związkiem Radzieckim (temu zagadnieniu poświęcono niemało uwagi, nie tylko na spotkaniach w instancjach i organizacjach partyjnych z lektorami KC, ale również z przedstawicielami ambasad radzieckich w Polsce oraz innymi działaczami radzieckimi, którzy składali wizyty w naszym województwie) oraz przyczyny kryzysu w Polsce.

W łódzkiej organizacji partyjnej uważnie śledzono także cele, zamierzenia i system działania przeciwników politycznych. Wynikało to z przekonania płynącego z bogatego doświadczenia politycznego aktywistów i członków partii. Wprawdzie panuje powszechnie akceptowana opinia, że głównym powodem największego kryzysu w naszym kraju są błędy popełnione przez partię w budowie socjalistycznej Polski, jednakże fakty historyczne uczą, że niedocenianie przeciwnika politycznego kosztowało niejedną partię rządzącą utratę władzy. W świadomości społecznej funkcjonuje pogląd, że wydarzenia sierpniowe i te, które po nich nastąpiły, obok słusznych, popieranych przez klasę robotniczą i cały naród, zmian, wraz z wielką nadzieją, wniosły także postulat i przykłady działań, które wskazują na grupowanie się i konsolidację tendencji sprzecznych z polską racją stanu. Realna groźba niekorzystnych zmian politycznych w naszym kraju polega na tym, że wśród sterujących robotniczym protestem, i to, na najwyższym szczeblu, są znani od lat wrogowie naszej partii, którzy dążą do ograniczenia do minimum jej roli. Część sił reakcyjnych, osadzona jest także w niemałym — w dalszym ciągu — niezadowoleniu społecznym, pogłębianym stale rosnącymi trudnościami w zaspokajaniu potrzeb codziennych i to o charakterze podstawowym. Stworzyło to przeciwnikom naszej partii daleko lepsze niż dawniej warunki dla prowadzenia działalności sprzecznej z socjalizmem.

Dlatego też przed IX Nadzwyczajnym Zjazdem stoi historyczne zadanie — nie dopuścić, aby robotniczy protest przerodził się w konsekwencję, w konflikt polityczny tej miary, której skalą największą jest zawrócenie Polski z socjalistycznej drogi oraz upadek gospodarczy i pogrążenie się kraju w nędzę i poniżenie. Jestem przekonany, że partia ma wszelkie możliwości aby zadaniu sprostać. Wierzę, że łódzcy delegaci do tego się przyczynią.

JAN NOSKO

Autor, dr Jan Nosko, wiceprzewodniczący Łódzkiej Komisji Zjazdowej, wieloletni działacz partyjny, do niedawna sekretarz ds. ideologicznych KŁ PZPR.

NA DRODZE DO ZJAZDU

przewagę uzyskały te, które dotyczyły statutu partii, przede wszystkim w dziedzinie zapewnienia w pełni demokratycznych wyborów, określenia kadencyjności władz, uprawnień sekretarzy partii, zwłaszcza kierownictwa partii, zapewnienie większej niż dotychczas kontroli nad władzami partii oraz stworzenia warunków pełnej demokracji w partii. Wiele miejsca w dyskusji przedzjazdowej poświęcono roli aparatu partyjnego, określeniu jego miejsca i uprawnień. W stosunku do poprzedniego statutu partii, nowe propozycje postulują: ograniczenie biernego prawa wyborczego, zapewnienie rotacji i zapobiegającego kumulowania władzy, zwiększenie swobody wyboru władz poprzez zniesienie ograniczeń liczby kandydatów, upowszechnienie tajności głosowania, ograniczenie funkcji komisji wyborczej do spraw techniczno-organizatorskich, dokładniejszego określenia sposobów odwoływania władz, m. in. poprzez ustalenie zasad zwolniania nadzwyczajnych konferencji i nadzwyczajnego zjazdu. W kwestii centralizmu demokratycznego wnioski zmierzają do określenia sposobu zapewnienia pełnej jawności życia partyjnego, głównie poprzez zobowiązanie władz do systematycznego składania sprawozdań przed organizacjami, zobowiązanie do kolektynowego podejmowania decyzji, udostępnianie członkom partii protokołów obrad konferencji wszystkich szczebli i Zjazdu. Tak więc przewidziane są możliwości dokonania najlepszego demokratycznego wyboru, potem zachowania przez wyborców kontroli nad sprawującymi w ich imieniu władzę i wreszcie możliwości odebrania władzy tym, którzy jej używają niezgodnie z wolą wyborców.

Łódzka Komisja Zjazdowa rozpatrzyła wszystkie zgłoszone wnioski. W niektórych przypadkach zaproponowano rozwiązania wariantowe (np. co do przeprowadzenia wyborów delegatów na Zjazd) lub do realizacji decyzji konkretnym władzom partyjnym np. w sprawach struktury instancji partyjnej).

Drugim, silnym nurtem dyskusji przedzjazdowej i podejmowanych inicjatyw, były problemy ekonomiczno-gospodarcze. Dwa czynniki rzutowały na charakter zgłaszanych propozycji: niezwykle trudna i stale pogarszająca się sytuacja rynkowa, szczególnie w zaopatrzeniu na artykuły codziennego użytku oraz świadomość konieczności przeprowadzenia głębokich, strukturalnych reform nie tylko w gospodarce kraju ale w całokształcie systemu funkcjonowania państwa. Wśród członków łódzkiej organizacji partyjnej rosła świadomość możliwości dokonania przemian o fundamentalnym znaczeniu dla dalszego rozwoju Polski. W dyskusji podkreślano, że należy przezwyciężyć — ponieważ są po

niejszym sąsiadem — na czele. W połączeniu z głęboką reformą gospodarczą — stwierdzali dyskutanci — istnieją duże możliwości eliminowania podstawowych dolegliwości, czy też poważnych słabości naszego systemu — marnotrawienia mienia narodowego, sił i talentów tkwiących w społeczeństwie, powodujące niezadowalającą ogólną efektywność gospodarczą.

Liczne propozycje rozwiązań społeczno-gospodarczych znalazły swoje odzwierciedlenie zarówno w opracowaniach Zespołu Ekonomiczno-Społecznego Łódzkiej Komisji Zjazdowej, jak i w Tezach Programowych na XXII Konferencję Komitetu Łódzkiego PZPR. Większość z nich była już prezentowana społeczeństwu. Zwróćmy jedynie uwagę na niektóre problemy. Tak na przykład, zdaniem Zespołu Ekonomicznego Komisji Zjazdowej pośród celów rozwojowych polskiej gospodarki wyznaczonej z obecnej sytuacji trzeba widzieć przynajmniej trzy najważniejsze: rozwój kompleksu rolniczno-żywnościowego, zwolnienie tempa rozwoju gospodarki narodowej — utrzymanie rozwoju przemysłu na dotychczasowym poziomie oraz natychmiastowe podjęcie działań oszczędnościowych w gospodarce. Do następnych ważnych celów gospodarczych zaliczono po pierwsze: rozwój i modernizację energetyki oraz transportu, po drugie: rozwój krajowej bazy surowcowej dla energetyki, przemysłu chemicznego, hutnictwa i budownictwa. Natomiast Tezy Programowe KŁ podkreślają potrzebę stworzenia takiego systemu ekonomiczno-gospodarczego, które przy zasadzie zapewnienia wysokiej efektywności gospodarowania stwarzałyby pełne warunki urzeczywistniania się sprawiedliwości społecznej, szczególnie w zakresie relacji efekty pracy a dochody i płace. W tym kontekście ważnym stwierdzeniem zawartym we wspomnianych wyżej tezach jest stanowisko aby w imię interesów grup i warstw najuboższych — jednoznacznie opowiedzieć się za preferencją dla szeroko rozumianej konsumpcji zbiorowej, kosztem ograniczenia konsumpcji indywidualnej, szczególnie dóbr o charakterze luksusowym, których ceny winny być skalkulowane w sposób uwzględniający dopłatki ich opodatkowanie. „Przewidując i uznając potrzebę zmiany cen — czytamy w Tezach — na artykuły konsumpcyjne, przede wszystkim żywnościowe, domagamy się, by system rekompensat dla najmniej zarabiających, zabezpieczył im nie pogorszenie się sytuacji życiowej”. W dalszej części, w kontekście reformy i zmian strukturalnych w przemyśle oraz wdrażania się z tym zmianami w zatrudnieniu wnioskowano, aby sytuację w tej dziedzinie łagodzić poprzez

CZŁOWIEK z nomenklatury

Jerzy Wawrzak

Ciąg dalszy ze str. 1

KKRYSTYNA MELON — sprzedawca z SDH „Central”:

Ludwik Lesień już nie bardzo wiedział, jak bronić się przed natarciwością swego rozmówcy. Sytuacja na przemian irytowała go i bawiła. Mógł go odprawić pod byle pretekstem, przekazać w ręce attaché prasowego, który już umiał radzić sobie z dziennikarzami. Jednak robienie uników nie leżało w charakterze ambasadora. Próbowal więc, nie zbliżając się za bardzo do granicy, której mu przekroczyć nie było wolno, wytłumaczyć korespondentowi „Polityki”, że jest stanowczo za wcześnie na publiczne podjęcie tematu. Taka zresztą była prawda: umowa o wspólnym przedsięwzięciu energetycznym nie przekroczyła jeszcze etapu wstępnych dyskusji. Radca handlowy zapowiadał wielomiesięczne, twarde negocjacje. Jak zawsze, gdy w grę wchodził wielki kontrakt, a w dodatku napięta atmosfera polityczna nie ułatwiała porozumienia. Wszelka niecierpliwość i ujawnienie zbyt wielu nadziei, jakie strona polska łączyła z tym przedsięwzięciem, także mogła zaszkodzić sprawie. Byłby to już zwykły amatorski błąd, odstąpienie od reguł psychologicznej walki, w której powściągliwość w słowach i oszczędność gestów mają swoją cenę.

Ambasador dziwi się, jak ten doświadczony globtrotter, a przy tym bystry obserwator i człowiek umiejący trzymać pióro w garści, nie chce tak prostej zasady zrozumieć. Tak, raczej nie chce, niż nie rozumie, pchany zawodową, ambicją, Lesień docenia ten wewnętrzny imperatyw: być pierwszym, który poinformuje opinię publiczną w kraju o podjęciu tak ważnych rozmów, ale...

Redaktor Łukomski, drobny rudzielec w nieokreślonym wieku, uśmiecha się zgodliwie, nie chce wyjść z roli raczej partnera niż petenta, ale jego zmrużone oczy strzelają na wszystkie strony w blaskach irytacji.

— A jednak, panie ambasadorze, moi koledzy już zasymulizowali problem. I, jak ich znam, jest to przygotowanie do obszernych publikacji. Reuter i AFP też dały wzmianki. Więc?

— Koledzy? — Lesień zaśmiał się ni to z przyganą w głosie, ni zdziwieniem.

Łukomski poczerwieniał, pogubił się zupełnie. Dawno nie natykał się tego rodzaju oporu. Nie dość, że nie uzyskał konkretnych informacji, to na dodatek, jakby go od nich bezpowrotnie odsuwno. I jeszcze ten przykry szczerb w nos. Ambasador bawi się z nim jak z dzieckiem. O czym innym może świadczyć niewzruszony wyraz jego twarzy i nienagannie manery, jakby ktoś mógł mylnie sądzić, zawodowego dyplomaty.

— Korespondent zagraniczny, zwiastuje tutaj, na Zachodzie — Łukomski wywołł się z chwilowej pasywności — mój sobie radzić nie, przebiegając w środkach. Tu się ciężko walczy, a nie pilnuje posady, jak w kraju — dostrzegł musiał rozbieżność w oczach Lesienia i podniósł głos: — Szanse mamy tu żadne. Ale teraz! Kiedy my podejmujemy sprawę.

— Nie lepiej to było ciągnąć reportaż krajowy — westchnął obłudnie Lesień — pamiętam wasze sukcesy, towarzyszu Łukomski.

Dziennikarz wysupiał z paczki kolejnego papierosa. Sprawili tym jakby niespodziankę ambasadorowi, który już uważał rozmowę za zakończoną. Nie sobie podczas tej rozmowy nie powiedział, ale w domysłach było wiele, także z przywoływania przeszłości, której gospodarz aluzjynie dotknął. Nie spotkali się do dzisiaj, do grudnia 1979 roku. Lesień, podczas czterolatniego pobytu na placówce, zachłannie polukał całą krajową prasę i znalazł wiele publikacji Łukomskiego.

— Zaczynał się u „Po prostu”, prawda? — spytał niewinnie, jakby tylko w celu popisania się swoją pamięcią.

Łukomski znów poczerwieniał, już nie ze złości. Nie udało mu się ukryć żałoŹenowania. Jak mógłby nie pamiętać tamtego reportażu. „Miasto w kapturze” przyniosło mu rozgłos w środowisku czytelników poklask. I uczucie niesmaku, już bardzo osobiste. To nie był czas na sprostowanie, liczył się atak, totalna krytyka. Mniej było ważne: co i kogo? Protesty jakiegos tam sekretarza, kogo to obchodziło? On sam tylko wiedział, że dał się zwieść tamtym małomosteckim rewolucjonistom, uzdrawiaczom z Bożej łaski. Co mu powiedzieli, napisał, nie sprawdził, bo wszystko się tak ładnie zakomponowało w klasyczny schemat: kilka terroryzująca miasto i grupka sprawiedliwych.

— Ach, tak — skrzywił się mimo woli i słowa też zabrzmiały matowo — racja, buszowałem wtedy trochę po waszym terenie.

Ambasador uśmiecha się lekko, niedostrzegalnie, wyrozumiale. Po tylu latach może sobie na to pozwolić, nie dopuścić do siebie żadnej innej myśli, poza pobażaniem. Nie musi też zaraz odpowiadać, bo dyskretnie brzęczy wewnętrzny telefon. Naciśka biały klawisz intercomu. „Warszawa na linii, towarzyszu ministrze”, słysze i po chwili: „Komitet Centralny, towarzyszu...”

— Przepraszam redaktorze — Lesień wstał i przeszedł do sąsiedniego saloniku, gdzie specjalnie, by nie kępować gospodarza podczas rozmów z interesantami, znajdował się aparat. Podniósł słuchawkę z pewnym niepokojem, chociaż w jego sytuacji było to bezsensowne uczucie. Wszystkie niespodzianki, jakie mu życie przynosiło, miał już najprawdopodobniej za sobą.

Słyszalność była doskonała. Od razu, nim tamten zdążył się przedstawić, poznał głos swego „następcy”.

— Co się stało, Zygmunt?

— Ależ nie, wprost przeciwnie! — usłyszał śmiech — jest propozycja, żebyś kandydował na zjazd, z Kamieńca.

— Czyja propozycja?

— No, oczywiście, z puli centralnej... Razem z ministrem Banachem, Ty, rzecz jasna, na pierwszym miejscu, jako członek KC.

Ludwik Lesień zamyślił się na chwilę. Był zaskoczony, a bardziej może poruszony tą wiadomością. Od początku listopada śledził za pośrednictwem gazet kampanię przedzjazdową. I nie mógł nie pomyśleć czasem wieczorem, że z wyjątkiem drugiego był delegatem na wszystkich zjazdach partii. Czyli ta propozycja była jakby naturalna. Za jego sprawą i jemu podobnych dokonuje się ważna sprawa: kontynuacja. Ale również może to być tylko gest, ładny gest za który powinien ciepło podziękować i nie wyrazić zgody.

— Ma to sens, Zygmunt? — spytał z obcą mu zazwyczaj bezradnością.

— Och, towarzyszu Ludwiku — dosłyszał westchnienie — jak możesz... zresztą Biuro zatwierdziło, więc jak jest... jak mogłoby być inaczej? — poprawił się.

— „Co mi tam wasze Biuro”, chciał powiedzieć Lesień, ale wydało mu się to zbyt łatwe i trywialne.

— A ci z Kamieńca — już się jakby tylko krygował — jak to przyjmą? Dwóch Lesieńów to mała przesada... chyba, żeście Romanowi odwolali?

— Nie gniewaj się, ale to był dodatkowy argument, żeby ojciec i syn. Chyba u jednej partii jesteście? — zaśmiał się z ulgą, jakby to stwierdzenie przesądzało całą sprawę.

— Chyba tak — odpowiedział Lesień całkiem poważnie — zgodzą się.

Ustallili jeszcze kilka szczegółów, terminy. Ambasador z przyzwyczajenia notował w kalendarzyku. Odłożył wreszcie słuchawkę i usiadł w najbliższym fotelu. Powinien teraz trochę pobyć sam, ta rozmowa przewracała mu wszystkie plany na najbliższe tygodnie. Na te święta — jak sądził — ostatnie na placówce, nie wybierali się z Haliną do kraju. Zamówił już miejsce w pensjonacie, w niewielkiej alpejskiej miejscowości. Tak, że to nagłe uczucie ciepła, satysfakcji, zmroziła codzienność. I jeszcze ten intruz za ścianą, któremu miał okazję dać nauczkę. Właśnie teraz, kiedy nikt nie mógłby uznać jej za osobiste porachunki.

Przeszedł energicznym krokiem do gabinetu. Łukomski czytał nadal w swoim agresywnym zniecierpliwieniu. Dość długie oczekiwanie na gospodarza jakby podkreślało wagę przeprowadzonej

Dalszy ciąg na str. 5

nadzwyczajnego. Bo, powiedzmy sobie szczerze: zjazd od razu tego, co jest w kraju teraz, w cośmy zabrnęli, natychmiast nam nie zlikwiduje. Żeby z tego wyleźć, to chyba potrzebny jest dłuższy okres, no nie? A zacząć trzeba od unormowania życia. I trzeba się zastanowić, co spowodowało, że tak kiepsko żeśmy wylądowali.

Tak myślę, że oni tam na tym zjeździe, to muszą przemyśleć po pierwsze, jak zlikwidować ten kryzys, a po drugie — co zrobić żeby to się więcej nie powtórzyło. Przecież tam będą ludzie mądrzy, nie tacy jak ja, będą tam specjaliści, eksperci, naukowcy, słowem ci, co widzą trochę szerzej niż ja. Ale pierwszym punktem obrad winna być sprawa żywienia. Niech wreszcie będzie doinwestowane rolnictwo, bo bez tego nie ruszymy. Bo jak ja to obserwowałem, to dotychczas budowaliśmy huty, porty i inne giganty, natomiast chłop nie mógł kupić głupiego lemisza czy śróbki do siewnika. Zabiła nas ta gigantomania.

Dzisiaj, dla odmiany, wykańcza nas czarna gadanina. Patrz pan, nie ma strajków, fabryki idą pełną parą, pracują kopalnie — a sklepy są puste! Więc niech ci tam na zjeździe wejdą w to wszystko, niech od słów przejdą do czynów. Bo ja panu powiem: już jestem zmęczony tą sytuacją, która z każdym dniem staje się czarniejsza. I niektórych spraw nie pojmuję. No bo jakże to tak: rok temu było wszystko, a teraz — trach! — i nie ma nic. I to po 36 latach! Więc liczę, że zjazd mi odpowie na te moje wątpliwości. Bo mi nie wystarczy, że czegoś nie mam, ja chcę wiedzieć dlaczego nie mam i za ile lat będę mieć. Osobiście wierzę, że taką odpowiedź otrzymam.

ANNA STĘPIEN — pracownica ELMET:

Cała Polska i ja osobiście oczekujemy od zjazdu bardzo dużo. Przede wszystkim już jesteśmy mocno zmęczeni brakiem zaopatrzenia, kłopotami żywnościami. Szczególnie dotknęło to kobiety. Liczę, że poprawa nastąpi dość szybko. Partia, a ja nie jestem jej członkiem, jest tą nadzieją, powiedziałabym gwarantem, że to się

odwróci ku lepszemu. Przecież jest ona ta siła, która może nam to zabezpieczyć. W tej chwili nie widzę w kraju innej takiej siły. Gorzej co prawda z autorytetem, ale myślę, że zjazd ten autorytet partii przywróci.

Zawsze wierzyłam i wierzę, że jesteśmy krajem bogatym, ale tak się składało, że mieliśmy zły gospodarczy, albo u góry byli ludzie, którzy nie mieli pojęcia o gospodarowaniu. Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę, że nigdy nad Wisłą nie będzie Japonii, ale możemy z czasem stać się jednym z bogatszych krajów Europy.

W wyniku panujących obecnie trudności nastąpiło poważne rozluźnienie moralno-obywatelskie. Ludzie stali się nerwo-

ludzie młodzi będą uciekać do miasta. No bo co to jest 1200 zł na dwie osoby? Jak z tego żyć nie mając ziemi?

Myślę także, że ktoś wreszcie pomyśli nad wyrównaniem cen i to tak, aby chłopu opłacało się produkować. Dotyczy to i warzyw, i zbóż, i żywca. Inną sprawą, niezwykle ważną, są kredyty dla młodych rolników. Jeśli ja chcę założyć plantację truskawek czy rozpocząć hodowlę trzody, to trzeba mi dać kredyty na dogodne warunki, bym mógł wzniesić potrzebne do tego budynki, kupić i zainstalować urządzenia, nabyć nawozy lub pasze. A przecież dziś rolnik chce także mieć w domu telewizję, łazienkę, lodówkę, stara się o samochód, słowem nie chce niczym róż-

BEZPARTYJNI:

wi, opryskliwi, chodzą pode-nierwowani, gotowi w każdej chwili wybuchnąć. To niczego nie ułatwia w tej już i tak niełatwej sytuacji. Więc myślę, że zjazd partii przyniesie nam wreszcie oczekiwaną stabilizację i spokój. Jestem Polką i nie dzielę narodu na partyjnych i bezpartyjnych, ale na Polaków uczciwych i na łobuzów.

Oczywiście, żaden zjazd nie ukróci rozpanoszonej do obrzydliwych paplaniny, ale zjazd może stać się bodźcem do powszechnej pracy, do uczciwego wysiłku. Podjąć decyzję jak to wszystko podzielić, co zrobić z urodzajem zboża i ziemniaków. Hasel bez pokrycia mieliśmy dość. Nie mamy natomiast dzisiaj perspektywy, nie mamy programu, nie mamy dopingu do pracy. Zjazd musi nam to przedstawić, musi nas przekonać, że ten cały zamęt się kończy, że wraca spokój i stabilizacja.

ZBIGNIEW BOROWIECKI — rolnik z Czekowa B. woj. sieradzkiej:

Sądzę, że zjazd zatroszczy się o tak zwane minimum socjalne dla rolników. O te renty na wsi nie będą podwyższone.

nić się od robotnika w mieście. Liczę, że na zjeździe będzie się także o tym mówił. Rolnik musi, jak każdy, rozporządzać o przygotowania swojego warsztatu pracy. Bez tego nie ruszy. Dziś jednak niszczy nas biurokracja: żeby załatwić cokolwiek tracimy dziesiątki godzin w urzędach. Nie mamy na miejscu służby rolnej, agronom siedzi w mieście, żeby o cokolwiek go zapytać odbywamy wielokilometrowe podróże. To także jedna z anomalii naszego rolnictwa.

Jeśli nie wzrośnie produkcja maszyn rolniczych — rolnictwo się nie podniesie. Dziś koniem i plugiem nie można już orać. Zdać przecież sobie sprawę, że muszą wyprodukować żywność nie tylko dla siebie, ale i dla innych. Dawniej na wsi był chłop, bo robił dla siebie, dziś jest rolnik, znaczy się producent. I dlatego myślę, że zjazd przywróci nam naszą rolniczą godność, pozwoli wychować młode pokolenie w miłości do ziemi, a nie obojętności dla spraw wsi.

ANNA BYCZKOWSKA — genie w redakcji Ogdosów, studentka Politechniki Łódzkiej:

Należę do młodego pokolenia,



Foto: Archiwum

EDUKACJA POLITYCZNA

Jolanta Wrońska

E PLURIBUS UNUM

W kilku poprzedzających sesjach próbowałam dokonać przeglądu stanu naszego polskiego myślenia politycznego przy okazji posługiwania się pojęciem „demokracja”. Słowo to wieloznaczne, toteż mam pełną świadomość, jak wielu istotnych spraw nie poruszyłam. Chciał powiedzieć, o demokracji wszystko, lub chociażby najważniejsze, w różnych aspektach, to napisać wielotomowe dzieło. Zresztą, czy to możliwe? Pocięłam jest myśl, iż rozważania o „demokracji” są równie stare jak ona sama. Dlatego kilka esejów musi mieć siłą rzeczy charakter szkicowy, nie wolny od uproszczeń. Wybrałam kilka zaledwie elementów składowych wchodzących w system myślenia społeczeństwa o demokracji, kierując się bardzo osobistym osądem tego co najważniejsze z punktu widzenia czekających nas głębokich procesów demokratyzacji. Tematy wybrane, mają, jak sądzę, zasadnicze znaczenie dla możliwości kształtowania postaw demokratycznych, czy szerzej, dla myślenia politycznego społeczeństwa. Wybór to daleko niewyczerpujący. Jestem jednak przekonana, że rozmowy o różnych aspektach demokracji, choćby czą-

stkowe, pomogą nam wszystkim w uczeniu się demokracji.

Podsumowując, całość przedstawionych refleksji, od razu na wstępie nasuwa się zasadnicze spostrzeżenie. Oto warunkiem sine qua non funkcjonowania demokracji społecznej jest wymóg aktywności obywatelskiej. Tę aktywność trzeba rozumieć dość szeroko. Od pasji społecznikowskich, działania de publicis, aż po codzienną nieobojętność w widzeniu i reagowaniu na sprawy społeczne. I te rangi ogólnokrajowej i te najbliższe, lokalne. Nie chodzi przy tym o preferowanie modelu społeczeństwa wiecznych działaczy, bo to ani możliwe, ani też dobre. Nie wszyscy mogą i chcą realizować się w robocie społecznej, nie każdemu staje temperamentu działacza. Chodzi po prostu o inną jakość najpowszechniejszego myślenia społecznego. Zachowując naturalny pluralizm występujących postaw, poglądów, itd., widząc wielość ścierających się interesów i koncepcji, dążyć trzeba do poszukiwania formuł jednoczących

społeczeństwo wokół spraw najistotniejszych, dla jego bytu. Sens dewizy e pluribus unum — w wielości jedności wyraża się w chronieniu wartości cementujących wleź społeczne, nie gubieniu ich z pola widzenia nawet w ferworze ostrego konfliktu.

Chcąc myśleć realnie o demokracji naszego życia społecznego, pamiętać trzeba o barierach demokracji, bowiem granice demokracji wyznacza formuła Pascala: wielość, która nie sprowadza się do jedności jest anarchią, zaś jedność, która nie jest wielością, zanienienia się w tyranię. Bariery demokracji to te postawy, poglądy, nawyki, które już teraz, lub w przyszłości, stać się mogą potężną zaporą uniemożliwiającą, a w każdym razie utrudniającą, skuteczne uczenie się myślenia demokratycznego. Boję się, że zapatrzeni w ogrom trudności „materiałnych”, atrofie gospodarki i wszystkich technicznych blokad reform, nie dostrzegamy ogromnych możliwości inicjacyjnych (gdzie dobrze kształtowane), ale także blokujących (gdzie zanle-

CZŁOWIEK z nomenklatury

Jerzy Wawrzak

Dalszy ciąg ze str. 4

rozmoży; stamtąd też mogła zostać przesłana rewelacyjna wiadomość. Wyraz twarzą ambasadora nie zapowiadał jednak nie specjalnego. Podniósł się z fotela, ale Lesień zatrzymał go gestem. Dopelniał mu kieliszek, nalewając sobie odrobinę.

— Nie specjalnego, redaktorze — uśmiechnął się przepraszając i wyłuszczył o co chodzi.

— Gratuluje! — Łukomski zerwał się z fotela i chciał stuknąć się kieliszkiem z gospodarzem, ale chłodny wzrok Lesienia usadził go na miejscu.

Najgorzej w tamtym raporcie były nie przeznaczenia i półprawy, demagogiczne wnioski i najwykresy insynuwacji, co boleśnie odczuł jako działacz tak niedawno bezpośrednio odpowiedzialny za powiat kamieniecki. To wszystko mogło, jeśli nie usprawiedliwić, to uzasadnić ówczesną atmosferę napięcia i próby sił. Zmiał dopiero płachtę gazetę w zaciśniętych do bólu dłoniach, kiedy odczytał nazwisko i imię swego starszego syna, Romana, lidera młodych gniewnych rozprawiających się ostro ze starym porządkiem. To był prawdziwy cios, coś nawet więcej, szok, bo wydawało mu się zawsze, że Romek od pierwszej klasy liceum wszedł na tę samą drogę, co on przed laty. Tak też było przez pierwsze trzy lata uniwersytetu.

— Gdyby to było w kraju, powiedziałbym, że Polska jest mała — mruknął tylko dziennikarz. Wyczuwał, że musi odciąć się od tamtej sprawy, jeśli chce zdobyć chociaż odrobinę życzliwości tego człowieka.

— Tu też jest kawałek Polski... Nie ważne, stare dzieje. Wam się wtedy wydawało, że macie monopol na prawdę. Nam, starszym, też się za wiele wydawało. A potem było, jak było... jak być mogło... Nie, nie powiedziałem, że powinno... No, odbiegliśmy od tematu, wybaczenie dyktuję, redaktorze.

— O, nie! — zaprotestował Łukomski — Chcecie żebym się przyznał, że się wtedy zbłądziłem? — zapalił z determinacją. — Oczywiście, ale nie było w tym nic nieuczciwego.

— W to wierzę, inaczej nie popilibymy tu sobie razem kawałku.

— ...ale swoje odpokutowałem. Pięć lat w poptudniowie, w dziale miejskim.

Coś jak pół porozumienia zawiązała się między nimi. „Niedrogo płacić za błędy”, uśmiechnął się do swoich myśli Lesień. „Jaka tam kara? Najbardziej czysta forma czystości. A tyli innych? Zupelnie rozgrzeszonych. A są i tacy, co zblili na swych błędach niezgorszy kapitalik polityczny”.

— Gdyby jednak co, chciałbym być pierwszy — Łukomski energicznie podniósł się z fotela.

— To zrozumiałe, dam radę odpowiedzieć poleceniu.

— Och, zapomniałem spytać — zawrócił od drzwi — redaktor Lesień z „Kontrastem” to za krewny?

— Jaki tam redaktor — uśmiech przeczył słowom — sym... próbuje reporterki, zobaczmy za parę lat, co z tego wyjdzie.

— Wyjdzie, wyjdzie, zdolny chłopak — Łukomski uklonił się ponownie. — Teraz naprawdę jestem pewien waszej życzliwości, towarzyszu ambasadorze.

Wreszcie został sam. Niezadowolony, że rozmowa tak się potoczyła. Rozmowa? Zaledwie kilka okólnych zdań, chociaż dość czytelnych. Dla jednego bolesne ukięcie wspomnienia. Dla drugiego ulga, że kolejnego rozrachunku nie będzie. Tylko ten mały wstyd, praktycznie zatraskujący przed rezydentem poczynny tygodnika drzwi do macierzystej ambasady.

Zbliżała się do końca oficjalne godziny urzędowania, pora obiadu. Długo nie mógł przywyknąć, że tutaj służba nigdy się nie kończy. W kraju miał zawsze jakieś okrucy, czasu dla siebie, wieczory, niedzielne popołudnia, później drewniak nad Narwią. Dzisiaj czekał go jeszcze cocktail w poselstwie Algierii, na którym z pewnych względów chciał być obecny. Kieliszek alkoholu zastrzął apetyt. Popychała go też również ciekawość, jak żona przyjmie zmianę urlopowych planów. Nikt tego nie lubi, prawda, ale, uspokaja się, każdy dodatkowy wyjazd do kraju przyjmowała z entuzjazmem. Zostawia tam dzieci, jeszcze dzieci. Swoich synów: Romana i młodszego o jedenaście lat Adama, mógł uważać tylko za męczący noszących takie samo jak on nazwisko. A w wypadku Adama, nawet i to było połowiczne. Swoje artykuły podpisywał przecież jako Adam Hildt-Lesień.

Właśnie, te dzieci! Gdyby naprawdę byli sami, przynajmniej jego, Ludwika Lesienia, stosunek do przyszłości byłby zupełnie jasny i prosty. Za kilka miesięcy kończy swoją misję dyplomatyczną. Żyli tu na wymaganym poziomie, ale bez żadnych ekstrawagancji. Ma sporo zaoszczędzonego grosza, konto dewizowe w Warszawie. Dobrze urządzone mieszkanie i urokliwie położony, drewniany dom nad Narwią. Jednym słowem, LL, człowiek żyjący do czasu w sposób niewielu pogmatwani i pospiesznie, poddany zawsze wielkim przeciążeniom poczuł w jakimś momencie urokliwej stabilizacji i wygodnego życia. A przy tym w miarę godnego, bo ockając się o granicę wieku emerytalnego, ma tę świadomość, że nikto mu do tego momentu nie może niczego zarzucić, że nigdy sam siebie nie oszczędzał i jakby nie oceniać jego dalszych możliwości, zasłużył sobie na tę ryczałtowość nie nierobienia... No, może nie zupełnie, znacznie nie tylko uprawiać ogródek i pisać pamiętniki. Przyszłość rozwiąże to w sposób naturalny, nawet gdyby nie całkiem po jego myśli. Jeśli tylko zechce, a dlaczego miało być inaczej? Wiedzą przecież, że nigdy nie robił uników i nigdy nie odmawiał. Nie... kilka razy odmówił, ale z zupełnie innego powodu.

Gdyby więc nie troska o dzieci, przyszłość rysowałaby się całkiem zachęcająco. Równocześnie jako człowiek trzeźwo myślący zdaje sobie sprawę, że to jego zatroskanie jest bardziej imaginacją niż potrzebą. Jakież to właściwie „dzieci”? Córkę Halinę, Beata i Joannę, właściwie niezależne i obrotne pannice, wrodozkie, co odziedziczyły po matce; pierwszą rok przed dyplomem z historii sztuki, drugą na trzecim medycyny. Tylko, żeby trafiły na odpowiednich partnerów, co już jest niepotrzebny i śmieszny smutkiem Haliny. Dziewczyny, a właściwie już kobiety, które swego czasu w jego środowisku byłyby już matkami obarczonymi drobniactwem, włączone w kierat zajęć domowych i fabrycznych, wspominające panięskie czasy jako coś dawno obumarłego w swej nierealnej sielankowości. Ale teraz...

Synowie LL są w sytuacji z innego wymiaru. Jeśli w przypadku córki Halny nieokreśloność ich przyszłości jest naturalna, to sytuacja Romana i Adama, wynikająca z ich ukształtowania już postaw wobec życia, jest jakby skazana na niewiadomą. Przysięga to świadomość, chociaż prawdziwa. Irytująca przy tym, bo obrali, tak jakby jemu na złość, zupełnie odmienne sposoby na życie. Chociaż łatwo dałoby się je uzasadnić: są dziećmi różnych matek, więcej nawet: kobiet tak zupełnie do siebie niepodobnych. A co rzeczywistość mogło mieć decydujące znaczenie? Dorastali, wchodzili w to prawdziwe życie w zupełnie różnych warunkach. Tak, to może być klucz do sprawy, zgadza się LL, chociaż wie również doskonale — i czuje to skurczem ojcowskiego serca — że on, ten sam niby Ludwik Lesień, też był dla nich różnym ojcem, innym go prostu człowiekiem, nie tylko różniącym się o te kilkanaście lat od siebie samego.

To gorzkie wspomnienie. Wrażenie zbytnej obojętności wobec starszego syna, puszczanie go samopas, bo przynosił dobre stopnie ze szkoły i nie chulił. I uczucie, że zawiodł kompletnie jako ojciec wobec młodszego, zgubił go gdzieś po drodze, jak dziecko, które należy przeprowadzić przez gęstą, nieprzyjazną las. I jeśli on, Adam, w jakiś sposób ocalał, to nie wiadomo, czyja jest w tym zasługa? Podobnie jak wczesna samodzielność Romana nie miała nic wspólnego z jego ojcowską samotną czw. tylko aprobatą.

Dalszy ciąg na str. 6

ktoś właśnie wchodzi w życie. Kończą studia. Od zjazdu oczekują odpowiedzi na wiele pytań. Choćby na takie: niedługo będą inżynierem, czy czeka mnie bezrobocie? Studia kosztowały mnie sporo wysiłku i zdrowia, a po ich ukończeniu i podjęciu pracy zarobię 4 tys. zł, kiedy ktoś inny bez żadnej szkoły otrzymuje 12 tys. Czy to kara za to, że uczyłam się?

Inny problem: mieszkania. Gdzie mieszkać, skoro mieszkanie rodziców jest za małe na przyjęcie jeszcze jednej rodziny? Perspektywa dziesięcioletniego wyczekiwania na spójniejszą M-les tam odbiera chęć do wszystkiego. Owszem, można wynająć prywatne, ale wówczas należy odzwyczaić się od jedzenia...

Praca jest zaszczytem i obo-

naszabruje na kilka milionów, to uchodzi mu to na sucho. Ja pracuję w aptece już 7 lat i zarabiam 3.900 zł. Można powiedzieć, że to dużo, ale ja za te pieniądze nie mogę kupić, nie mogę kupić. Nie stać mnie tak, że, by iść do hali targowej i płacić 400 zł za kilogram schabu. Za moją pensję mogę kupić 9 kg tego schabu i we dwójce z synem rencistą (po wypadku) zjemy go w ciągu pięciu dni. A co dalej? Nie, tak nie można. Zjazd musi mi dać nadzieję, że będę miała lepiej, musi mi odpowiedzieć na pytanie, jak będę żyć, co mnie czeka jutro, czy kolejki się zmniejszą czy też wydłużą się jeszcze bardziej. Nie muszę jeść szynki czy polędwicy, ale niebawem raz w tygodniu kupię kawałek zwyczajnego mięsa. Dziś

dzie wreszcie wyklaruje się w kraju sytuacja polityczna. Bo tak jak dotychczas to dalej już nie można. Wierzę, że ostatecznie zostanie wytyczony plan realizacji porozumień społecznych. Może wówczas skończy się raz na zawsze te wszystkie, jakże upokarzające, kolejki. Obecna sytuacja nie przynosi niczego optymistycznego, a tylko wprowadza ludzi do kresu wytrzymałości. Co z tego, że stanę w kolejce, odstoje swoje, i nic nie dostanę, bo akurat zabrakło.

Jako mechanik samochodowy, oczekuję, że będziemy mieć więcej części potrzebnych do naprawy samochodów. Z tym wiąże się dwie sprawy: po pierwsze — będę miał satysfakcję, że nikt z naszej stacji ob-

raz wszędzie. U nas w zakładzie jest coraz gorsze zaopatrzenie w cukier do produkcji i w opakowania metalowe. Jeszcze trochę, a staniemy, bo nie będzie co produkować. Nikt nie może przewidzieć, czy w przyszłym miesiącu będzie praca czy nie. To tylko w telewizji są piękne uroczajki, a my na ten przykład zakupiliśmy zaledwie 1/4 planowanego ilości truskawek. Dlatego też niech na zjeździe ktoś wreszcie powie, ludziom prawdę, niech pokaże jak jest w rzeczywistości, może wtedy nastąpią korekty w produkcji.

Zjazd musi także określić realne możliwości opłacalności produkcji rolnej. Chłopu musi się opłacać hodować i uprawiać, w przeciwnym razie, nie pomogą nam żadne piękne uroczajki.

JAN MIDERA — elektryk w „Domu Książki”:

Od zjazdu oczekuję przede wszystkim planu uzdrowienia gospodarki, lepszego życia, które ostatnio daje się nam porządnie we znaki. Teraz każdy żyje tym zjazdem, ludzie zastanawiają się co on przyniesie. Jak tak czytałem o tych delegatach to widziałem na listach ludzi wykształconych, naukowców i dlatego myślę, że ci ludzie nie pozwolą aby powtórzyło się to, co się stało w Polsce w latach siedemdziesiątych. Oczywiście liczę się z tym, że ceny na artykuły spożywcze będą dzień w dzień wzrosnąć, jednakże za tym winny iść w górę pensje. No bo na ten przykład oboje z żoną mamy w sumie 9 tys. zł i mamy 3-letnie dziecko. Przy dzisiejszych kosztach utrzymania ledwo wiążemy koniec z końcem. Jeśli chcemy coś kupić do mieszkania — zaciągamy pożyczki. A jak drugo można żyć z pożyczek? Polska też jest zadłużona i jeśli tych zadłużeń szybko nie spłacimy, a będziemy brać ciągle nowe, to w kraju będzie tak samo jak u mnie w domu: wszyscy co mam to jakby nie moje, choć jak dotąd jestem dłużnikiem wypłacalnym.

Na dobrą sprawę nie mam pewnością jak się rozwine po zjeździe sytuacja w kraju: czy czasem nie powtórzy się ubiegłoroczny sierpień, czy też zacznie się wreszcie poważna stabilizacja, normowanie życia. Oboje mam już dość tego rozgardaszu, tego braku wszystkiego, tych kolejek, nerwów. Dlatego też wierzę głęboko, że zjazd da nam odpowiedź, kiedy to się wszystko skończy. Sądząc, że skończy się także takie anomalie, jak ta na Widzewie-Wschodzie, gdzie od półtora roku stoja cztery wieżowce i nie można ich zasiedlać, bo nie ma czym tych wieżowców wykończyć. Dlatego też myślę, że na zjeździe mówić się także będzie i o tym, widocznym wszędzie bałaganie, żeby bałaganie przestało udawać dygnitarzy, a wzięli się za uczciwą pracę.

Na dobrą sprawę nie mam pewnością jak się rozwine po zjeździe sytuacja w kraju: czy czasem nie powtórzy się ubiegłoroczny sierpień, czy też zacznie się wreszcie poważna stabilizacja, normowanie życia. Oboje mam już dość tego rozgardaszu, tego braku wszystkiego, tych kolejek, nerwów. Dlatego też wierzę głęboko, że zjazd da nam odpowiedź, kiedy to się wszystko skończy. Sądząc, że skończy się także takie anomalie, jak ta na Widzewie-Wschodzie, gdzie od półtora roku stoja cztery wieżowce i nie można ich zasiedlać, bo nie ma czym tych wieżowców wykończyć. Dlatego też myślę, że na zjeździe mówić się także będzie i o tym, widocznym wszędzie bałaganie, żeby bałaganie przestało udawać dygnitarzy, a wzięli się za uczciwą pracę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

LICZYMY NA ZJAZD!

wiązkiem, zgoda. Ale czy kobiety muszą tak ciężko pracować, zamiast wychowywać dzieci? Emancypacja i równoprawienie w obecnym wydaniu są nie do przyjęcia. Czy nikt nie zauważył, że wyrasta nam nowe pokolenie — pokolenie z kluczem na szyi? Ja właśnie jestem z tego pokolenia. Moja mama rozpoczęła pracę mając 16 lat, a ja ukończyłam studia i prawdopodobnie będę bezrobotna. Czy nie należałoby tego zmienić?

Pytań mam wiele: o upokarzające i coraz dłuższe kolejki, o nerwowość wśród społeczeństwa, o upadek gospodarki narodowej. Dlatego też chciałabym, aby zjazd podjął chwałę uchwały, zdecydowane działania. Nie ma dziś czasu na stopniowe wprowadzanie zmian, nastal czas ostrych cięt. Oczekuję więc na rewolucyjną zmianę, a nie na powolne tonięcie w kryzysie nie w bagnie. Toteż powtarzam: pragnę aby zjazd spełnił moje nadzieje i oczekiwania, by dał odpowiedź na pytania nie tylko w podjętych uchwałach, ale i w konkretnym działaniu.

KRYSTYNA PIĄTEK — farmaceutka w aptece nr 47-011:

Liczę osobliście na to, że zjazd przyniesie pozytywne rozwiązania tej kryzysowej sytuacji, ale jak słyszę, ludzie często nie wierzą, że to się stanie. Zbyt dużo nam obiecywano przez te wszystkie lata i zawsze kończyło się na obietnicach.

Jestem prostą kobietą, ale nie od dziś widzę te niezliczone paradoksy naszego życia, które m.in. przyczyniły się do tego, że w Polsce jest jak jest. No bo na przykład jak to się dzieje, że sprowadzamy z zagranicy maszyny i urządzenia, a potem okazuje się, że w kraju mamy takie same albo i lepsze? A te sprowadzone nie są przeważnie nigdzie montowane...

Chciałabym także usłyszeć na zjeździe, że ludzi, którzy będą zajmować wysokie stanowiska, przypilnuje się by tych stanowisk nie nadużywali, nie bogacił się, nie łamał prawa. Jeśli robotnica wyniesie z zakładu rajstopy, to od razu jest okrzykana złodziejką i surowo karana. A jak jakiś dygnitarz

znam takich, którzy głodują, bo z różnych powodów nie są w stanie stać w kolejkach.

ANTONI OLEWIŃSKI — kaleria z „ASKO-Kangur”:

Sam zjazd nic nie robi, ważne jest by od góry do dołu wszyscy czuli jedność, chcieli tego samego, to znaczy dobra Polski. Dopóki będą takie różne tarcia, to nie się nie zmieni. Wiem, że nie stanie się to od razu po zjeździe, na to potrzeba czasu.

Wie pan, ja nie rozumiem jednego: zanim zostanie zlikwidowany brak jakiegos towaru, już zaczyna brakować innego artykułu. Przecież to wstyd, żeby po tych 38 latach stały u nas w półkach statki ze zbożem i czekały na wyładunek, żeby brakowało benzyny, choć ciągle dostajemy całe pociągi z ZSRR i nasze własne złoża nie są tak skąpe...

Ja nie wiem, jak to się dzieje i myślę, że zjazd mi na to odpowie: dlaczego zaczyna w zastraszający sposób brakować surowców? W moim zakładzie produkujemy na kleju kauczukowym, skórze i skaju. Teraz już czasami występują braki, a jak nam mówią, będzie gorzej. W perspektywie — uniemożliwienie zakładu. Co wtedy? Z pracą wiąże się sprawa wolnych sobót. Niech będą wolne wszystkie, ale niech mamy w pozostałe dni co robić. Jeśli będzie pod dostatkiem surowca do tego dobra organizacja pracy, to wykonamy każdy plan. Ludzie naprawdę chcą pracować, tylko żeby było z czego robić. A teraz? Nie dość, że wolne soboty, to jeszcze w tygodniu czasami stoimy bo nie mamy z czego produkować.

Pewnie wszyscy dziś mówią to samo: zlikwidować kolejki. Czy ktoś przeliczył te godziny, które tracimy w kolejkach? Ja sam nie mam kiedy stać, więc idzie w kolejkę moja chora na serce żona rencistka. Czy po to dać jej rentę? Ja naprawdę wierzę w ten zjazd, wierzę, że zapadną tam mądre i dobre dla nas, robotników, decyzje.

WŁADYSŁAW CZERWINSKI — mechanik samochodowy z ASOS I:

Spodziewam się, że po zjeź-

LEOKADIA PIECHAŁ — st. aparatowy w Zakładzie Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego w Gorzynie:

Chcę na początek jednego: poprawy bytu. Co z tego, że są kartki, kiedy po skończonej pracy resztę dnia spędzam w kolejkach. Ja mieszkam na wsi, w Woli Buczokowskiej, i tam, żeby dostać chleb, muszę stanąć przed sklepem już o 5 rano. A niech pan zobaczy co się dzieje u nas z proszkiem do prania, mydłem, szamponem. Raz w miesiącu przywożą 9 paczek proszku, choć jest we wsi około 200 gospodarstw. Czym się myć, czym prać bielezną, prać dziecięce ubranka? Wiesz polska, wbrew temu co sądzą o nas w miastach, nie jest wcale brudniejsza od reszty kraju. Dlatego tak bardzo liczę na ten zjazd. Musi się pośpieszyć, bo gorzej to chyba już nie może być.

Ale ten niedostatek jest te-

dbane), jakie tkwią w sferze psychologicznej. Poziom wiedzy, świadomości i kultury politycznej jest bardzo kiepski, stąd tak pilne są działania podnoszące ten poziom, działania szukające nowych, skutecznych form kształtowania świadomości społecznej.

Groźbą największą jest bierność polityczna większości narodu. Tu nie idzie o ściśle sprecyzowaną orientację, na którąś z wiodących nurtów, lecz o faktyczną nieobecność w życiu publicznym wielkiej rzeszy. Bierność ta ma wiele źródeł: zarówno w dotychczas panującym systemie władzy (styl radzenia metody politycznej działalności, stosunek władzy społecznej do „polityki”, potocznie rozumianej jako rzeczy niemożliwe. Postępująca degeneracja władzy, niszczenie form samorządowych itd., powodowało stopniowe zniechęcenie, nieufność, a w końcu zamykanie się jednostek i całych grup w kręgu spraw osobistych.

Właśnie ta bierność, wyczekiwanie

na konkretne posunięcia władz, jest najbardziej ponurym dziedzictwem lat ubiegłych. W sytuacji ostrego starcia się sił przeciwnych, bierność większości może zagrozić szansom realizacji odnowy. Mamy więc taki obraz: coraz ostrzejsza walka ekstremów z obu stron, a w środku „stodoła”. Nieliczne procentowe środowiska awangardystów i skupione wokół kręgi „entuzjastów” mogą po prostu utonąć w morzu bierności, nie zdolawszy pociągnąć za sobą szerokich mas. Najlepszy nawet program umrze śmiercią naturalną, gdy zabraknie powszechnej „codziennej roboty w każdej sferze życia społecznego”. Pochodną bierności jest zaś ściankowienie horyzontów, partykularyzm. Te z kolei warunkowane są poziomem społecznej odpowiedzialności i dyscypliny. Cały ten, powiązany ze sobą organicznie system wzajemnie się warunkujący stanowi fundament aktywności. Dlatego tak ogromnie ważne jest odrodzenie samorządności szeroko pojętej, gdyż tylko ona jest najlepszą metodą uczucia się myślenia i działania demokratycznego.

Analizując stan myślenia obywatelskiego, przyczyną zła upatrywala-

bym w nadmiernej hasłowości całego systemu edukacji narodowej. Rozumiemy to jako zbytne rozczepienie między wpaływaniem systemem wartości uznanych za wiodące (patriotyzm, wolność, tolerancja, szacunek dla państwa itd.), a przekładaniem ich na codzienną praktykę społeczną. Ot, choćby patriotyzm przez większość rozumiany jest jako walka za ojczyznę na polu bitwy, zdolność do poświęceń życia, ale zupełnie nie kojarzy się ze zwykłą, uczciwą pracą. Ten model myślenia wpał w system edukacji i górnolotną propagandę. W świadomości zbiorowej dłużej żyje pamięć o bitwach i żołnierzach, niż o uczonych, odkrywcach i mądrych reformatorach. Główne źródło naszego wiecznego dylematu, jak piękne hasło wdrożyć w codzienną zasadza się więc w prowadzenie myślenia syntetyzującego, nad analizującym łatwiej nam wymyślić dobry model społeczeństwa, niż zrealizować go, bo tu już trzeba żmudnej analizy. Wańkowicz mawiał, że głównymi motorami pchałymi rozwój społeczeństw, zawsze był GENIUSZ, POŚWIECENIE I ORGANIZACJA GRUPOTA. Co tym razem przeżyci...

E PLURIBUS UNUM

CZŁOWIEK z nomenklatury

Jerzy Wawrzak

Ciąg dalszy ze str. 5

Tak sobie to oczywiście wypomina i jest to zabieg trochę żałosny i absurdalny, bo sprawy potoczyły się nieodwracalnie swoimi kółkami.

To poczucie niesprawiedliwości się w roli ojca łączyło inne, nie kwestionowane przekonanie, że zawsze dawał im dobry przykład, że gdyby tylko zechciał im się zauważyć, mieli na co dzień, pod bokiem nieskazitelnym wzorze. Jego jasno określone stanowisko i niezłomne poglądy, które nie były tylko ogólnikowymi spekulacjami, ale codzienną praktyką. LL nie robił z siebie krocącego dostojnie pomnika ani nawet nie zadawał sobie podobnych łamiągłów do rozwiązania: po prostu czuł, że pod tym względem jest w porządku, a oni dwaj, kiedy już zaczęli rozeznawać się w złożoności świata, musieli dostrzec jego wewnętrzną uczciwość.

LL szuka dalszych usprawiedliwień, jakby okoliczności łągających przed osadem własnego, ojcowskiego sumienia. I znajduje ich wiele, dziesiątki powodów, że musiało być tak, a nie inaczej. A zamykają się one w jednym, wcale nie naciągającym stwierdzeniu, że w ich rodzinie, w historii rodziny Lesieńców, zawsze tak było.

Zawsze tak było, powtarza kilka razy, zawieszony w próżni obzernego, wytwornego gabinetu, zastopowany w działaniu telefonem z Warszawy i tą rozmową, która też coś w nim poruszyła. Zawsze tak było, stwierdza, i zaraz obdarza to stwierdzenie znakiem zapytania. Fakty są takie, jeśli na razie nie brać pod uwagę przyczyn. Od pokoleń ich drogi, Lesieńców, niezależnie od imion, przezwisk, wyuczonych zawodów i poglądów — rozbiegały się na wszystkie strony świata, częściej przecinały się niż nakładały, czasami wykluczały się wzajemnie, dzieliły ojców z synami, braci między sobą, przerywały więzy pokrewieństwa i rodziny wrogości. Takie są fakty, które wystarczy przywołać z pamięci. A przyczyny? Czy jakieś fatum zawisło nad tą rodziną? Czy prawa historii, w której oni na swój sposób zakorzenili się trwałe i głęboko od przeszło stu lat.

To zawsze był problem, którego LL nigdy nie zgłębił do końca. Nie potrafił, nie chciał? Odpowiedź, jak zwykle, gdzieś między tymi dwoma pytaniami, ukryta w złudzeniu, że spokojniejsza przyszłość pozwoli sprawiedliwie wyważyć oceny. I te z ostatnich lat, i te, które pozorne czas spopielił.

Alle dzisiejszy telefon wywołuje potrzebę rozrachunku. Ojciec i syn, uczestnicy krzepiących na duchu żywych obrazów z cyklu: sztafeta pokoleń; uczestnictwo w grze, w której tak czy inaczej biorąc, nie jest się inscenizatorem.

LL nieraz uczestniczył w brzemieniu n w skutki grzech. Sprzeczną to było z jego solidnością i skłonnością do zasadniczego stawiania problemów, ale rozumiał, że jest to konieczne. Był jednak zwykły tym, który, jeśli nie decyduje, to ma ogromny wpływ na przygotowanie i rozegranie partii. Tak było, począwszy niemal od rodzinnego progu, od pełnego rozterek, ale koniecznego wymanewrowania ojca, Michała Lesienia, z kamienieckich układów. Przyszedł tym bardziej, że w grudniu 1948 razem siedzieli w tłumie delegatów na Kongresie Zjednoczeniowym, a na wiosnę trzeba mu było odbierać te, jeszcze nie przyniesioną noszeniem w portfelu, nową legitymację. A potem już to szło, coraz sprawniej, po kolejnych szczeblach sekretarskiej kariery. Aż do tej obecnej, w gruncie rzeczy niewinnej zabawy ze starszym synem, którą tak ładnie w centrali zaprogramowano. I na którą się zgodził nie tylko bez wewnętrznej sprzeczki, ale z jakąś niepoważną satysfakcją, jakby tamta dezygnatura Michała Lesienia sprzed trzydziestu lat nie oznaczała.

A może był w tym podświadomy zamiar pomocy Romkowi, takiego nie wprost poparcia własnym, jeszcze, nie to, że zalety potencjalnym, znaczeniem. Takim jeszcze dodatkowym atutem wymyślonym w ojcowskiej nadgorliwości, będącej rodzajem antidotum na poprzednią pasywność. Chyba to zalety, bo kto jak kto, ale Roman Lesień nie potrzebuje żadnych podpór. Nie od dziś manifestuje swój sposób na życie i konsekwentnie trzyma się swojego wyboru. A jeśli ma okoliczności sprzyjają, to najmniej wspomaga je pozycja Ludwika. Kto wie, czy sprawy nie mają się akurat odwrotnie, że ta sytuacja nie ciążyła mu, nie stawiała jego autentyzmu dorobku w dwuznacznym świetle. Różne meandry jego kariery mogły na to wskazywać. Lesienia musiało to nie raz zastanawiać, a po czasie dostrzegł to także inni. Jak choćby Zygmunt, kiedy rozmawiał z nim, podczas pierwszych odwiedzin w kraju po objęciu placówki. A mówił chyba szczerze i z troską, bo rozstali się ze swoim „następcą” w największej przyjaźni.

— Roman jest niemożliwie ambitny — Zygmunt powiedział to z jakąś zazdrością w głosie i uznaniem. — Chcieliśmy go dać do komisji planowania, na ważny departament. Ale uparł się na województwo i postawił na swoim... Sam nie wiem, czy nie ma racji, bo ma czas, a lepszego wojewody na taki Kamieniec nie znaleźlibyśmy.

— Na „taki” Kamieniec? — zdziwił się niemile Lesień.

— Najważniejsze, że chłopak się nam udat, że nie jedzie na nazwisko... Żeby tylko był mniej agresywny, widział szerzej, nie ulegał partykularnym ambicjom... A ten nie raz za gardło chwytł. Fakt, coś w ten sposób i załatwia, ale produkuje sobie wroga.

— Ciesz się, co mówisz, że uczciwie pracuje, a kłopoty z nim będą, bo zawsze były. Kiedyś kładłem je na karb młodości, to jego lewać. Teraz znowu stoi się w piórka technokrata, czyli jakby się wychylał na prawo. Jednym słowem: charakter, który kocha kraj, ekstremita, chociaż już dojrzały człowiek i żaden awanturnik. Ale to tak jest, to cała droga od naturalnego hurrewoluconizmu do pragmatyzmu. Ciąg sprzeczek... Jak nie dostanie kiedyś mocno w skórę, nie zrozumie, że w ten sposób nie służy się partii najlepiej. Tylko kto ma go tego nauczyć? Rutkiewicz? On ma zawsze narzucić swoją wolę. Chyba że dobrać się tę parę. Roman musi mieć nad sobą mocniejszego sekretarza.

— Fakty mówią co innego — zaśmiał się Zygmunt — też mi rola przypada, bronić syna przed ojcem, dać spokój chłopakowi. LL nie zdawał sobie sprawy, jak to jego szukanie dziury w całym, to pragnienie, by syn dostał od życia twardą lekcję, miało się niebawem spełnić. Nie, za Boga nie życzył mu takiej lekcji, mimo irytacji za jego niewzruszony upór, z jakim realizował własne cele, nie licząc się z żadnymi okolicznościami. Chciał, po prostu, chociaż ze szczybla komisji planowania byłoby mu się łatwiej przebić. Poszedł niżej, jakby szukał bezpośredniej odpowiedzialności. I konfrontacji wprost. I znalazł ją w czerwcu 1976 roku, która w Kamieńcu nie była łagodniejsza niż w Radomiu i Ursusie.

Teraz myśli o tym spokojnie, bez emocji. A tamte wydarzenia poraziły go wówczas jak elektryczny prąd o wysokim napięciu. Sensacja bijąca w oczy z pierwszych stron nieprzyjanych gazet, z ekranu telewizora, z komentarza radiowego. Nigdzie schronienia przez te dwie doby. Dopiero, kiedy docierają do ambasady wyprzedzające informacje, może porównać. Nie chce, lecz musi porównywać swoje doświadczenie z synowską próbą. Współczuł mu i przeżywał zgrozę, kiedy to nikomu nie znane miasteczko, ich rodzinowe siedlisko, dostało się na usta całego świata i nie można było nigdzie przed nim schronić, przed tym podwójnym niepokojem: o losy kraju, sprawy, i los własnego syna. Dopiero na chłodno analizując wydarzenia dochodzi do wniosku, że i tak los łagodniej się z nim obszedł. Nie przeżył szoku, który jego, Ludwika, w pierwszym październikowym wzmuchu zaczął uzupełniać. Poza tym trwało to krótko, tak, jakby jego syn włożył w wysoki płomień dłoń ściśniętą w kulak, kiedy on, ówczesny sekretarz propagandy komitetu wojewódzkiego, wobec rejterady

Dalszy ciąg na str. 7

Dalszy ciąg ze str. 1

woju gospodarczego, racjonalną koncentrację produkcji na asortymentach ograniczanych w celu podniesienia efektywności wytwarzania. Korzyści specjalizacji wynikają z osiągnięcia optymalnej skali produkcji oraz z dostosowania struktury produkcji do potencjalnych własnych zasobów.

W perspektywie programowania rozwoju branż specjalizowanej produkcji istotne znaczenie mają inwestycje rozwojowe, zapewniające zdolności produkcyjne i warunki wykorzystania aparatu wytwórczego. Niestety program ten nie został w praktyce zrealizowany. Ogromne obciążenie społeczeństwa kosztami inwestycji w latach siedemdziesiątych nie przyniosło postępu w dziedzinie specjalizacji narodowej; przeciwnie — błędny wybór kierunków inwestowania doprowadził do głębokiego załamania warunków reprodukcji oraz w efekcie do kryzysu społeczno-politycznego.

W odróżnieniu od poprzedniego dwudziestolecia, kiedy to industrializacja finansowana głównie z akumulacji wewnętrznej, w latach siedemdziesiątych znaczny był udział inwestycji realizowanych przy pomocy kredytów uzyskanych z krajów zachodnich, m. in. na zasadach samospłaty (czyli pod przyszłą produkcję określonych towarów). Koncepcja samospłaty służyła w założeniu, ale żywiołowa i woluntarystyczna w realizacji, doprowadziła do ogromnego zadłużenia kraju oraz uzależnienia produkcji przemysłowej od importowanych surowców i materiałów. Import znacznych ilości licencji i materiałów, nowoczesnych maszyn i urządzeń nie przyczynił się do rozwoju trwałych powiązań specjalistycznych oraz promocji korzystnego eksportu towarów o większym przetwórstwie. Forsowanie kapitałochłonnych kierunków inwestycji zaowocowało natomiast przekroczeniem dopuszczalnych granic zadłużenia kredytów i poważnym spadkiem efektywności gospodarowania.

Krytyczna sytuacja płatnicza Polski rozliczana w walucie wymienialnej (tzw. II. obszar płatniczy) jest skutkiem znacznego przyspieszenia kredytowego importu, niewspółmiernego z globalnymi zdolnościami eksportowymi. Struktura obrotów towarowych z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi kształtuje się dla polskiej gospodarki w dalszym ciągu wyjątkowo niekorzystnie. Przy braku możliwości uzyskania dalszych kredytów, import jest prawie całkowicie uzależniony od wpływów z eksportu. W towarowej strukturze eksportu przemysł maszynowy zajmuje wciąż dalekie miejsce. Eksportujemy przede wszystkim węgiel, miedź, siarkę i wyroby hutnicze. Spadek wydobywania tych surowców zmniejszył ich eksport i wpływy waluty wymienialnej. Zmniejszenie importu z tych krajów, wymuszono

ne znaczną nierównowagą bilansu płatniczego, obniża zdolności eksportowe.

Produkcja eksportowa jest bardziej zależna od importowanych surowców i materiałów niż cała pozostała produkcja. Import ze strefy dolarowej w pierwszym kwartale br. jest o 20 proc. mniejszy niż w pierwszym kwartale ubiegłego roku. W warunkach wysokiej importochłonności produkcji, ograniczenie zakupów niezbędnych do wykorzystania posiadanych mocy produkcyjnych powoduje straty liczone w miliardach złotych. Co robić, żeby przedsiębiorstwa miały z czego produkować? Tak zwane negatywne rezerwy produkcyjne ocenia się na ok. 400 mld złotych.

W minionej dekadzie przeważał rozwój produkcji opartej w dużym stopniu na materiałach kooperacyjnych i technologiach importowanych. W dodatku produkcja koncentrowała się na wyrobach materiałochłonnych i energochłonnych. Stąd też wynika, że podstawową przesłanką wyboru kierunków specjalizacji narodowej w przemyśle przetwórczym powinny być własne źródła zaopatrzenia surowcowego. Ale znowu — przemysł wykorzystujący krajową bazę surowcową nie osiągnął światowego poziomu jakości i nowoczesności w produkcji wyrobów, które mają szansę eksportową. Opóźnienie postępu jakościowego, na przykład w przetwórstwie przemysłu chemicznego, dysponującego bogatą bazą substancji węglowodórnych, a jednocześnie — brak większych postępów w branżach nowych, chociażby takich, jak wyroby przemysłu elektromaszynowego, poważnie zaczęły na malejącą w ostatnich latach efektywności handlu zagranicznego.

Specjalizacja narodowa ma zasadniczy wpływ na likwidację barier w handlu zagranicznym, oszczędność nakładów inwestycyjnych i wdrażanie postępu technicznego. W dalszym ciągu jednak w szeregu branż przemysłu o międzynarodowej pozycji konkurencyjnej, wzrost eksportu określonych wyrobów limitują nie możliwości sprzedaży, lecz zdolności produkcyjne. Trudności w pogłębianiu specjalizacji narodowej wynikają więc nie tyle z poziomu zagranicznego zadłużenia, co z małej zdolności gospodarki do spłaty tego zadłużenia mniej importochłonnym i opłacalnym eksportem. Sprawność produkcji o partej na własnych surowcach i własnej myśli naukowo-technicznej o standardach jakościowych gospodarki Europy lub świata to perspektywa kraju na osiągnięcie pełnych i trwałych korzyści z udziału w międzynarodowym podziale pracy.

POSZUKIWANIE SPECJALIZACJI

Warunkiem rozwoju wielkoseryjnej produkcji i eksportu jest sukces uzyskany przez no-

EKSPORT-IMPORT-

wy wyrobów na własnym rynku. Wymowne są tu doświadczenia Stanów Zjednoczonych, Japonii i innych krajów, chociażby w przemyśle motoryzacyjnym, które uzyskały skalę produkcji określaną jako optymalną na rynku światowym.

W latach pięćdziesiątych japoński przemysł samochodowy prawie nie istniał. Obecnie produkcja i eksport samochodów rośnie wyjątkowo dynamicznie — Japonia zajmuje pierwsze miejsce w świecie. W 1980 roku eksport wyniósł 6 mln szt., w tym do USA — 2,4 mln, podczas, gdy Ford, jedna z najstarszych firm samochodowych świata, w tym samym czasie zamyka roczny bilans stratami.

Przemysł motoryzacyjny ze względu na szeroki asortyment wyrobów finalnych, podzespołów i części, stwarza duże możliwości wewnątrzbranżowej specjalizacji i kooperacji. A jaka jest rzeczywistość w przemyśle motoryzacyjnym krajów członkowskich RWPG? Jesteśmy świadkami równoległego rozpoczynania produkcji tych samych typów pojazdów samochodowych w różnych krajach, mimo braku możliwości wydłużania skali wytwarzania i promocji eksportu. W roku 1980 produkcja samochodów (osobowych i ciężarowych łącznie) wyniosła w krajach RWPG — 3,1 mln sztuk.

Unowocześnienie przemysłu motoryzacyjnego w Polsce związane jest głównie z produkcją licencyjnych samochodów osobowych, które w przyjętych założeniach miały doprowadzić do likwidacji naszego zacofania w rozwoju motoryzacji indywidualnej. W minionej dekadzie uruchomiono produkcję wielu nowych wyrobów finalnych. Często powielanym przykładem stosunków gospodarczych z państwami kapitalistycznymi jest transakcja licencyjno-kooperacyjna polskiego przemysłu motoryzacyjnego z włoskim fiatem w produkcji samochodu małolitrażowego. Wybudowana fabryka spłaciła kredyt przed terminem i zarabia na eksporcie.

Decyzja w kwestii rozwoju produkcji fiat 126 p rozminęła się jednak z metodami planowania społecznego. Pomimo zwiększenia, w trakcie reali-

zacji inwestycji, pierwotnie zakładanej skali produkcji — podaż nie zaspokaja popytu rynku wewnętrznego i znacznych możliwości eksportu. Chcielibyśmy zrobić wielki skok w eksporcie, ale — nie przez wyrywanie poszukiwanych towarów nabywcę krajowemu. Uruchomienie kompleksu „fiat 126 p” odbywało się pod hasłem produkcji masowej na rynek wewnętrzny. Publikatory donoszą, że „polskie fiaty” znajdują się na drogach w wielu krajach czterech kontynentów. Czy może to być rzeczywistość opłacalny eksport? Jednym z kryteriów efektywnego eksportu jest koncentracja produkcji i rynków zbytu. Czy produkcja roczna około 300 tys. kilku typów samochodów osobowych może być opłacalna dla współczesnego poziomu techniki?

Nadzieje na likwidację opóźnienia w rozwoju motoryzacji, związane z licencjami fiat, zostały zaprzeczane przez partykularne presje mocnej branżowej grupy nacisku. Obowiązywała na przykład sformułowana na początku lat siedemdziesiątych koncepcja produkcji całej gamy samochodów osobowych od „fiat 126 p” do „poloneza”. Ta obsesyjna orientacja na szeroki asortyment wyrobów kosztowała Polskę miliardy dewiz. Zbudowano tłocznię dla blach poloneza, poszerzono zdolności produkcyjne w FSO do 100 tys. wyrobów finalnych rocznie, a tymczasem wyprodukowano łącznie do końca ubiegłego roku zaledwie 57 tys. tych samochodów.

Dodać wypada, że produkowane w naszym kraju samochody nie spełniają ogólnych wymogów jakościowych odbiorców zagranicznych, co wpływa na ich ceny...

Jak rozwijały koncepcję rozwoju przemysłu motoryzacyjnego inne kraje? Węgrzy dla przykładu popyt na samochody osobowe pokrywają w całości importem. Dzięki powiązaniom kooperacyjnym, startując na jednakowym poziomie z nami w roku 1960, WRL ma obecnie dwa razy więcej samochodów osobowych w przeliczeniu na liczbę ludności!

Polski przemysł motoryza-

NAGOŚĆ ŁÓDZKIEGO KRÓLA

Polski Manchester, przeżywa kryzys. Przemysł lekki zagrożony. Król okazał się nagi. Nie sam jednak, i stąd dziś już nikim to nie wstrząsa. Choruje przecież cała gospodarka. Bliższa jednak ciachu kosa, stąd nagość łódzkiego króla win-

na szczególnie niepokoić poddanych. Nic co zle w minionych latach nie ominęło przemysłu lekkiego. Rejestr grzechów głównych, jest równie długi jak dzisiejsze kolejki. Przypomnijmy choć niektóre.

Gigantomania, fajer „Biston” jak w Teatrze Wielkim, pusta sala widowiskowa „Polaris”, do której łodzianom ze względu na odległość nie chce się zaglądać. Gigantomania czy wielkie zakłady typu „Vera”, „Próchnik”, „Skogar”, „Dywilan” — nastawione na długie serie, a więc mało elastycznie reagujące na rynek — akurat odwrotnie do trendów światowych. Nieatrakcyjność inwestycji (patrz „teofilowski” bistor). Nadmierne uzależnienie parku maszynowego od krajów strefy dolarowej — czyli za co dziś kupować części zamienne? Nieracjonalność licencyjna. Kupowaliśmy na przykład licencję na francuskie krosno MAV, ale nie rozwijaliśmy docelowej produkcji z braku funduszy, podczas gdy w tym samym czasie te same krosna, na które mieliśmy licencję sprowadzano z zagranicy za ciężkie dewizy. Mamy w Gzleru fabrykę produkującą urządzenia transportu wewnętrznego, ale ZPO „Bytom” te same urządzenia kupił na Zachodzie pomimo negatywnej oceny komisji ekspertów w ministerstwie. Budujemy z jednej strony wspaniałe fabryki-pomniki, ładując pieniądze w mury podczas gdy z drugiej strony od pięciu lat nie zbudowano w Łodzi ani jednej zakładowej oczyszczalni ścieków.

Mamy kryzys surowcowy. Nie mamy dewiz. Mamy natomiast 20.000 ton pel-

nowartościowego surowca (tzw. zużytki) czyli zużyte wyroby od zwykłych pończoch poczynając na wykładzinach podłogowych kończąc oraz odpadki poprodukcyjne) którego nikt nie chce. Wyrzucany jest na wysypiska, gdzie stanowi na zawsze martwą ziemię, ponieważ syntetyki nie ulegają rozkładowi. Dzieje się to wszystko w rezerwie, który importuje ponad 60 proc. potrzebnych mu surowców. Takiego marnotrawstwa nie ma ani w NRD, ani w Czechosłowacji, nie mówiąc już gdzie indziej. Rejestr ten znacząco można by jeszcze przedłużyć, a skutki?

Mam przed sobą na biurku coś w rodzaju raportu o stanie przemysłu lekkiego na zakończenie pierwszego półrocza. Przytoczmy z niego najistotniejsze fakty. W okresie 4 miesięcy bieżącego roku zrealizowano sprzedaż produkcji i usług z niedoborem 4 miliardów złotych — głównie z przyczyny braku surowców i zmniejszonych możliwości importowych. Co prawda dostawy na rynek wewnętrzny zrealizowano w tym samym czasie z nadwyżką, ale wzięło się to głównie z powodu zanizonego eksportu. I tak kółko się zamyka. Bo zróz zabraknie dewiz na import.

Eksport w przemyśle lekkim odgrywa ważną rolę. Po pierwsze pozwala na niezbędny zakup importowanych środków do produkcji, po drugie przemysł ten doprowadza zawsze nadwyżki dewizowe do innych gałęzi gospodarki narodowej. Przypierzmy się zatem sprawie bliżej. W eksporcie do krajów socjalistycznych kłopoty (niedobór w wysokości 64

IMPORT -EKSPORT

cyfny w ubiegłej dekadzie uzyskał wyjątkowe przyspieszenie inwestycyjne. Nie był to jednak ukierunkowany rozwój wytypowanych wyrobów wiodących, lecz taki, który zakładał szeroki, a równocześnie płytki, rozwój całej branży. W rezultacie rozproszenia inwestycji i chybionych zakupów szeregu licencji, wysiłek ten częściowo został zmarnowany. Największą bolączką są niedostatek ilościowe towaru na eksport.

Potrzebny był samochód dla rolnictwa i tak zrodził się tarpan, pojazd wytwarzany w skali kilku tysięcy rocznie. Produkcja została włączona w doskonale wyposażone zakłady naprawcze samochodów ciężarowych, które poza tym produkowały na zasadach wyłączności w krajach RWPG niektóre urządzenia obsługowo-diagnostyczne, ciesząc się dużym powodzeniem. Na opracowaniu wątpliwej wartości studium modernizacyjnego, firma fiata w Turynie zarobiła sto mln złotych dewizowych. Z podjęcia produkcji tarpana można byłoby cieszyć się, gdyby załóżono on produkując miejsce w grupie samochodów tej klasy w skali Europy i gwarantował uzyskanie korzyści ekonomicznych w wymianie międzynarodowej. Tak jednak nie jest.

Polska nie będzie czołowym potentatem na świecie w produkcji wszelkiego rodzaju pojazdów samochodowych. Posiadane środki inwestycyjne należało przeznaczyć na wydłużenie skali wyrobów, w których produkcji zdecydowaliśmy się specjalizować. Przykładem racjonalnej specjalizacji jest węgierski przemysł motoryzacyjny, najbardziej znany w świecie z produkcji różnych wersji autobusów. Jedną z największych w Europie fabryka „Ikarus” eksportuje do 36 krajów 90 proc. wyrobów finalnych, podzespołów montażowych i części oraz pokrywa całkowicie potrzeby rynku wewnętrznego. Specjalizacja narodowa PRL w przemyśle motoryzacyjnym idzie w kierunku powiększania produkcji autobusów, dywersyfikacji ich typów, a nie — w ogóle produkcji pojazdów samochodowych. Czy polski przemysł motoryzacyjny w latach siedemdziesiątych miał taką właśnie koncepcję rozwoju? Dlaczego chcemy robić wszystko, sami?

Gigantomania samodzielnego

ści, miast likwidowania strukturalnych słabości specjalizacji w ramach RWPG i współpracy z innymi krajami, była głównym kierunkiem rozwoju. Kierownictwo przemysłu motoryzacyjnego WRL proponowało nam ścisłą kooperację i wspólne powiększenie produkcji autobusu „Ikarus” na skalę 25 tysięcy sztuk rocznie. Propozycję odrzucono na rzecz zakupu w stanie surowym, u Berlieta, licencji autobusu stwarzającego duże trudności w produkcji i eksploatacji mimo wysokiego importu elementów kooperacyjnych. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zainteresowani byliśmy głównie wdrażaniem od podstaw nowych wyrobów w oparciu o licencję z obszaru krajów zachodnich. Na 26 ważnych licencji zakupionych przez przemysł motoryzacyjny, tylko 14 jest w pełni wykorzystanych. Gdyby zamiast licencji berlieta czy ciagnika MEP rozwinięto własne osiągnięcia naukowo-techniczne oraz kooperację w ramach RWPG, mieliśmyby dziś tak potrzebne autobusy i traktory. Poszczególne serie autobusów berlieta różnią się kilkudziesięcioma zmianami konstrukcyjnymi. Głównie dlatego w latach 1973—1980 wyprodukowano zamiast 18 tys. — tylko 5 tysięcy tych autobusów.

Specjalizację produkcji na skalę międzynarodową w polskim przemyśle motoryzacyjnym mogły stanowić nowoczesne samochody dostawcze, które mają pewny rynek zbytu. Tylko w ZSRR jeździ ponad 100 tysięcy żuków i nys, przestarzałych i produkowanych w niewielkich ilościach. Na podwoziach samochodów dostawczych można budować różne odmiany nadwozia: furgon, chłodzony, izotermiczny. Mamy już w tej dziedzinie pewne doświadczenia. Niestety, pojazdy które miały największe szanse specjalizacji w skali światowej nie zostały wytypowane do modernizacji i wielkoseryjnej produkcji.

Koncepcji wytypowania nie całych branż lecz zestawu wyrobów, których produkcja powinna rozwijać się znacznie szybciej, brak było w latach siedemdziesiątych nie tylko w kierownictwie produkcyjnym przemysłu motoryzacyjnego. W programowaniu rozwoju branż nie uwzględniano priorytetu dla wyrobów, które mogły stać się

naszą specjalnością w Europie, a nawet w świecie.

Poważne dysproporcje w procesie inwestycyjnym i kompleksowo pojętej współpracy z zagranicą występują chociażby w gospodarce morskiej. W świadomości społecznej przykładem specjalizacji narodowej jest przemysł okrętowy, bowiem 90 proc. statków sprzedajemy armatorom zagranicznym. Przemysł okrętowy jest reprezentatywnym przykładem całej gospodarki morskiej. Nasz „narodowy przemysł okrętowy” nie przyjmuje zamówień od krajowych armatorów, gdyż zadania dla zagranicznych nabywców wyczerpują zdolności produkcyjne. W rezultacie nasi armatorzy muszą składać zamówienia w krajach kapitalistycznych. A przemysł okrętowy to także przedsiębiorstwa kooperujące ze stoczniami w zakresie wyposażenia okrętowego i bezpośrednio same eksportujące. W tym zakresie uprawnienia specjalizacyjne w ramach RWPG, z braku inwestycji częściowo tylko są przez nas wykorzystane.

W produkcji i eksporcie statków znajdujemy się statystycznie w czołówce światowej. Ale w przedziale 20 lat udział Polski w światowej produkcji statków zmalał z 2,7 proc. w 1960 r. do 2,4 proc. w 1980 r.! Jednocześnie nasza flota liniowa znalazła się dopiero w drugiej dziesiątce. Polskie stocznie w pierwszej kolejności zasilają statkami flotę naszych konkurentów, mimo że na usługach naszej floty zarobić moglibyśmy więcej.

Niedoinwestowany potencjał stoczni remontowych klasyfikowany jest dopiero w trzeciej dziesiątce i coraz więcej statków zmuszeni jesteśmy remontować za waluty wymienne. Większe dysproporcje między produkcją stoczni remontowych to dewiza za usługi dla zagranicznych bander z wyjątkami dla polskich portów. Przynajmniej jednak polskie statki powinny być remontowane przez własne stocznie.

Fotografie całej gospodarki morskiej stanowią wyposażenie techniczne portów. Niedostateczny jest potencjał przeladunkowy, drobnicy, którą tylko w 11 proc. przewozi się w kontenerach i to w jednej trzeciej dziesiątce, chociaż mamy dwie własne wytwórnie kontenerów, ale produkujące na eksport. Dzierżawę kontenerów można by zmniejszyć, gdyby było gdzie je remontować. W kraju nie ma jednak ani jednej myjni kontenerów — mycie odbywa się w portach zachodnich...

W latach sześćdziesiątych poważna część przeladunku importowanych przez Czechosłowację zbóż i pasz dokonywano w naszych portach. Obecnie około trzy miliony ton rocznie importu tych surowców główny nasz partner tranzytowy dokonuje przez Hamburg, placąc średnio 120 dol. za wyładunek i załadunek jednej tony. Uboża specjalistyczna baza przeladunkowa wydłuża wyładunek statków ponad czas umowy i gospodarka narodowa od kil-

ku lat zamiast zarabiać na tranzyście, ponosi wielomilionowe straty w walucie wymiennej.

Potrzeba specjalizacji

Przeprowadzenie przygotowawczej reformy gospodarczej zależy od wyraźnego określenia polityki strukturalnej na szczeblu centralnym i strategii rozwoju przemysłu, a w szczególności opracowania długofalowego programu specjalizacji narodowej w ramach RWPG. Ale budowa takiego programu wymaga racjonalnych zasad i kryteriów wyboru kierunków specjalizacji.

W gospodarce każdego kraju są branże przemysłu, które rozwijają się znacznie szybciej niż cała gospodarka. W programie pogłębienia specjalizacji konieczne jest wyselekcjonowanie tych wyrobów, które mają szanse umocnienia swych pozycji na międzynarodowym rynku oraz zapewnienie możliwości produkcyjnych (zaopatrzenie, inwestycje, surowce, dewizy) wyrobom najbardziej opłacalnym. W formułowaniu różnych alternatyw korzystnego profilu specjalizacji wyborczy należy potraktować towary tradycyjnie cieszące się największym popytem, zarówno na rynku wewnętrznym, jak i na rynkach zagranicznych.

Kierunki specjalizacji w skali międzynarodowej należy traktować jako integralny element budowy długofalowych programów rozwoju branż przemysłu. Dlatego też istnieje pilna potrzeba określenia kryteriów i metod podejmowania decyzji specjalistycznych. Kryteria specjalizacji są inne, lub znacząco inne, na poziomie przedsiębiorstwa, branży i gospodarki narodowej. Skromne przytoczenie literatury naukowej wykazuje ogromną różnorodność poglądów w kryteriach wyboru i podejmowania decyzji specjalizacyjnych. W literaturze specjalizacji produkcji w skali międzynarodowej to najczęściej ogólne rozważania w ekonomii politycznej, naukach prawnych, dyscyplinach technicznych.

Zjawiskiem powszechnym praktyki gospodarczej jest dzielenie produkcji na eksport i rynek wewnętrzny. Kraj wielkości Polski może podejmować zasadne długofalowe decyzje specjalizacyjne w ogóle, ale nie dla potrzeb określonych krajów i rynków. Program specjalizacji narodowej trzeba traktować jako proces ciągły, nie ograniczony horyzontem czasowym. Podstawą planowania specjalizacji od przedsiębiorstwa aż do centralnego szczebla planowania powinny być łączne możliwości lokalne wyrobu. Zniknie wówczas podział produkcji na eksport i rynek wewnętrzny, pojęcie odrzutu i nadwyżki z eksportu.

TADEUSZ
SZCZEPANEK

mln zł dew.) spowodowane są opóźnieniem kontraktacji — roczne protokoły handlowe w większości były podpisywane dopiero na przestrzeni I kwartału i dlatego realizowane będą dopiero w II półroczu.

W eksporcie do krajów kapitalistycznych kłopoty (niedobór w wielkości 136 mln zł dew.) mają charakter bardziej złożony. Zasadniczy wpływ miały tu trudności produkcyjne, spowodowane niedoborem surowców i materiałów pomocniczych, głównie chemicznych pochodzących zarówno z kraju jak i z importu. Zdarza się, niestety, bardzo często, że minimalne kwoty na zakup niektórych barwników czy środków pomocniczych powodują przerwanie lub wręcz niepodjęcie produkcji eksportowej. Jaskrawym przykładem tego jest zaniechanie dostaw jedwabiu wiskozowego z krajowej chemii, który rzutuje na produkcję podszewek. Kontrahenci zachodni odrzucają natomiast korefekte z podszewkami syntetycznymi i mamy kłopot. Czyli 100 mln zł dew. do tyłu Czysta strata.

Poza tym istotny wpływ na kłopoty w eksporcie ma bardzo ostrożna postawa naszych kontrahentów z krajów kapitalistycznych. Spowodowana jest ona z jednej strony wewnętrzną sytuacją w naszym kraju a z drugiej strony dalszym spadkiem koniunktury na wyroby przemysłu lekkiego w krajach zachodnich. Dodatkową utrudnia naszą sytuację bardzo prężny i tani eksport na Zachód wyrobów przemysłu lekkiego pochodzących z Dalekiego Wschodu.

Jak zatem przedstawia się sytuacja w perspektywie całego roku w świetle już zaistniałych faktów i realnych prognoz? — zapytują autorzy raportu. Odpowiedź nie jest niestety optymistyczna. Nastąpi bowiem znaczne w stosunku do zakładanego planu: zmniejszenie importu z krajów kapitalistycznych (o blisko 600 milionów zł dew.), zmniejszenie dostaw surowców wódkarskich i skórzanych z krajów socjalistycznych (o blisko 50 mln zł dew.), zmniejszenie dostaw włókien chemicznych z przemysłu krajowego (o około 20 tys. ton), wręcz zmniejszenie dostaw z krajowego skupu surowców włókienicznych i skórzanych. Oznacza to korektę w NPSG o 35 miliardów zł, a więc dalsze pogłębianie się kryzysu, pustkę półki z materiałami, które dziś jeszcze tam leżą. Resort zapewnia, że zrobi wszystko aby zabezpieczyć w tym względzie priorytetowe dostawy dla dzieci i młodzieży, środki opatrunkowe oraz dostawy na rzecz rolnictwa i Związku Spółdzielni Irwalidów. W celu przewyższenia aktualnej sytuacji prowadzone są przez resortowe centrale handlu zagranicznego i spółki zagraniczne negocjacje w celu uzyskania kredytów. Dostaliśmy już kredyt z Australii wynoszący 40 mln dolarów australijskich. Podobne działania podjęte zostały w USA i krajach petrodolarowych. Są to jednak środki o ograniczonej skuteczności, z czego należy sobie w pełni zdawać sprawę. Związkiem że taka polityka była już praktykowana, wiadomo z jakim skutkiem.

Wnioski? W wyniku zaistniałej sytuacji, ministerstwo nie ukrywa, że może zaistnieć konieczność zmniejszenia poziomu zatrudnienia o około 31.000 osób w skali rocznej. Aby tak się nie stało, kierownictwo resortu podjęło rozmowy, zarówno z krajami kapitalistycznymi jak i socjalistycznymi w kierunku realizacji tzw. usługowego przerobu z powierzonych surowców. Co przekładając na język bardziej zrozumiały oznacza po prostu wyprzedzić siły robocze. Najbardziej skonkretyzowane propozycje otrzymały od tej pory ze strony radzieckiej — w trakcie rozmów jakie przeprowadzono w Moskwie w kwietniu i maju. Prowadzone są również takie rozmowy z Węgrami, Jugosławią, Francją, Holandią i Australią. Oby poszły dobrze. Próbuje się także powiązać problem nadwyżek zatrudnienia z sukcesywną likwidacją pracy na trzeciej zmianie. Prognozuje się że w 1982 roku trzecia zmiana ograniczona zostanie o około 40 proc. w stosunku do stanu obecnego.

Tyle nadziei na to, że widmo masowego bezrobocia nie zajrzy nam w oczy. Przynajmniej w dominującym w Łodzi przemyśle. Nie czuć tu jeszcze odbijania się od dna, a wręcz gromadzą się kolejne chmury. Ale nie po raz pierwszy król Łodzi, okazuje się nagi. To miasto przeżyło już różne krachy na giełdach bawelskich, a jednak...

MAREK MILLER

CZŁOWIEK z nomenklatury

Jerzy
Wawrzak

Ciąg dalszy ze str. 6

pierwszego sekretarza i jego sztabu, musiał cały zanurzyć się w ten wrzący tygiel. I nic mu nie zostało przez los zaoszczędzone, od strasznego upokorzenia do pierwszego raz przeżytego zwycięstwa nad własnym strachem i ludzką niepoczytalnością.

Godzi się tylko z jednym, tak być musiało. Od pokoleń, odkąd ich antenat pojawił się wpiers w przedmojskim przysiółku, a później w murach Kamieńca, aż do dnia dzisiejszego. Bo nawet Adam, pięć lat temu jeszcze nie opierzony miłokos, już niby po swoim życiowym zakręcie, jakim był wyjazd Elizy w 1968 roku, ale nadal gówniarz, znalazł się ze swoim reporterskim magnetonem w oku cyklonu: właśnie przy boku — w pewnym sensie — nie lubianego brata. Właściwie do tamtej pory nie akceptowanego w żadnym szczególe. Ale tak już musi być. I, kto wie, czy nie przeniesie się ów fatalizm rodzinny na losy wnuka Tomka, który dzieli swą ambicję między historię i wspinaczkę.

Ludwik Lesień czuje nagły przypływ ciepła. Zobaczy ich wszystkich wcześniej niż sądził, zanurzył się już za tydzień w kraj, z którego wieści płyną w niezbyt miłej dla ucha słodko-gorzkiej tonacji. I chyba jeszcze zobaczy się, zdąży się zobaczyć z ojcem, o którym Natalia wypisuje w listach przedziwne rzeczy, co zbywał wzruszeniem ramion, bo wiek go z każdego zarzutu usprawiedliwia. I w tym momencie jest prawie pewien, że jeśli wróci do ambasady, to już tylko po to, by dopilnować odpowiedniego zapakowania bagaży, że ta przystojna, dobrowolnie wygnana, jak sam to niekiedy określał, czy odstawka na boczny tor, jak nazywali to jego wrogowie, że to całe szukanie wczorajszego dnia po obcym kraju kończy się, zamyka, zatrząskuje szczelnie w jego prywatnych, tajemnych szufladkach pamięci.

Pod koniec obiadu, klucząc nieco w rozmowie, wyjął wreszcie o telefonie Zygmunta. Miał przy tym tak strapioną minę, że Halina roześmiała się w głos. I wyraźnie ucieczyła się, pojaśniała, co u kobiet w jej wieku bywa na ogół rzadkością. Lesień odetchnął z ulgą, i — co mu się tutaj rzadko zdarzało — podszedł do kredensu po butelkę z wytrawnym wermutem.

— Tak się cieszył — Halina skwapliwie podsunęła swój kieliszek. — Masz rację, trzeba to uciąć.

— Co? — spytał poważnie, aż uniosła brwi w zdziwieniu.

— I jedno, i drugie... — tylko mi nie zaczęły wydychać — do dała z przysięgą w głosie — Dość się nasłuchiłam różnych kombinacji na temat, co się za czym kryje. Zresztą jesienią i tak wracamy do kraju.

— Kto wie? — mruknął tylko Lesień, dobry nastrój jakby błyskawicznie wyparował. — Może wcześniej, Na zjeżdżanie mogą być spore zmiany. Tak, tak, powinny być. Coś na ten temat wiem — Nigdy ci nie powiedziałem, Ludwik — powiedziała z zaskoczeniem — najwyżej jaki krawiec dobrać do garnituru, ale wiesz, co myślę o tej całej waszej polityce... Czyżby ci coś zaproponowali? Ten twój wychowanek synie z oryginalnych pomysłów.

— Ależ skąd, Halinko, tak tylko sobie głośno myślę...

— Masz szczęście — uśmiechnęła się wyrozumiale — że muszę zaraz jechać do fryzjera.

Lesień rzeczywiście próbował zasnąć, ale wiedział, że to beznadziejna sprawa. Powiedział te dwa słowa za dużo, niepotrzebnie, i o jedno słowo za mało. Chociaż czy ona tego nie wie? Prosta sprawa. Ona, Halina, jest najwzajemniejsza. Jest wszystkim i musi być całym światem mężczyzny w jego wieku. Ostatnią kobietą, a bezwzględnie ostatnią miłością. Kto wie, czy nie największą w życiu, chociaż Marta i Eliza są trwale zapisane w krajobrazie jego uczuć. Każda oczywiście inaczej. Marta jest wspomnieniem wzruszającym, z cieniem pogodnego smutku, jaki niesie pogodzenie się z wyrokami losu, śmierci. Eliza jeszcze obecna, jak pamięć burzliwego lata, porwająca talami niepokoju i niemej pasji. I tylko postawie swej obecnej żony zawdzięcza, że tamte uczucia nie trzymają go w swej władzy, że są ulotne, jakby z innego wymiaru.

Lesień próbuje drzemać, nadal bezskutecznie. Przeszkadza mu świadomość, że ten rychły wyjazd do kraju może wszystko w jego życiu przewrócić do góry nogami. Ich życie, poprawia się. I wie przy tym, że nie wolno mu pod żadnym pozorem dopuścić, aby to ona miała ponieść konsekwencje tych zmian. Ona, która jest więcej warta od wszystkiego, co mogłby jeszcze uczynić. Wiedział o tym już wtedy, tamtego pierwszego dnia, kiedy narzuciła mu swoją wolę i wygrała nie tylko z nim.

Wygrała? Według potocznej opinii, na pewno tak. A przecież tym samym zdecydowała się na coś więcej. Dała się pociągnąć w dwuletni prawie romans z człowiekiem, który jej nie obiecywał, traktował mimochodem jak dogodną przystań na chwile wytchnienia. Starannie nawet skrywał swoje uczucia, które wreszcie wyleły górą nad obawą przed śmieśnością i skrepowaniem wobec dorosłych dzieci i zaprowadziły go po raz trzeci przed urzędnika magistratu.

Nie, to nieprawda. Po raz drugi, bo z Marią brali ślub kościelny. Nie na to nie mógł poradzić. Wszyscy byli przeciwko niemu, chociaż znali jego poglądy i każde dziecko wiedziało w Kamieńcu, że należy do komunistycznej jacejki. A nawet ojciec podśmiewał się z tej jego światopoglądowej zadziorności, bo sam jako wojujący z klerem pepesiak wolał być w dobrych stosunkach z Panem Bogiem. Z Martą musiał więc być inny ślub, i to pośpieszny, o czym świadczy przyświeca na świat Romanu, w siedem miesięcy po weselu. Ile to już lat temu? Ponad czterdzieści, i z tej perspektywy czasu jakże drugorzędne stają się te okoliczności, a jak żywym nadal koszmaram jest sceneria śmierci pierwszej żony.

To rzadki koszmarny, ale kiedy już wraca, przenika do każdej tkanki, paraliżuje wyobraźnię. Przeżył z Martą najgorszą, najtrudniejszą sytuację, szczęśliwie gwiazdy przeprowadziły ich przez niejedną granicę. Wynieśli całe głowy i nioskaleczka dusze z tej wielkiej wojny, aby podczas tej bratobójczej, zwanej przez historyków małą wojną, zwątpić we wszystko. Jest to określenie, przynajmniej w odniesieniu do Marty, zwodnicze. On, Ludwik, nad tą ruiną swojej wiedzy o ludziach, pochylał się całymi tygodniami i miesiącami. Dla Marty było to kilka tragicznych minut, niezrozumiałych od początku do końca, chociaż ci mężczyźni mówili tym samym językiem a na ich piersiach błyszczały rymografy ze znanym wizerunkiem Matki Bożej. Wreszcie na nią i kałował kolbami karabinów, nie uwierzyli, bo zakładali z góry swoją niewiarę, że nie ma pojęcia, gdzie znajduje się ten przeklęty zdrajca, rosyjski pacholek, jej mąż. Sami oszaleli ze strachu, jak zwierzęta, niedobitki z oddziału „Murata”, głodni i brudni, zaróżnieli po białka przekrwionych oczu od niewyspania, bułki tę kobietę aż do ostatniego skurczu ciała, ostatniego jęku i zbawczego westchnienia ulgi, jaką była śmierć. I jakby im mało było tego oszalełego bestialstwa, odchodząc w mrok, podpalili dom, który płonął w ciszy i bezruchu, potem zaś w targających powietrzem eksplozjach ukrytej na strychu amunicji; na oczach stojących w bezpiecznej odległości sąsiadów Plomienie szybko pochłonięły dom, ale nie spopielity Ludwikowski serce. Umierało w nim długo, ale wytrwało w nim długo, ale wytrwało w bólu, stając się oświele i twarde, czasami wprost nieludzko spokojne.

W ten sposób Marta zrobiła miejsce Elizie. Lesień wie że już tego nie sprawdzi, dopiero od niedawna zadaje sobie tak dziwne pytania, ale prawdopodobnie Marta i tak, gdyby przeżyła, musiałaby ustąpić jej miejsca. Tak, jak jedną miłość ustępuje następnej miłości. Dokonuje na sobie tej starannej wiwisekcji uczuć, pograżając się coraz bardziej, ale ma to charakter ekspiacji. Jest jak niezbędne oczyszczenie duszy, aby każdy następny dzień przeżyć lepiej. Martę kochał, ale tak, jak kocha się rodzinny kraj, obraz, naturę, drzewa, rzekę, psy rośliny i chmury na niebie.

Dalszy ciąg na str. 8

CZŁOWIEK z nomenklatury

Jerzy Wawrzak

Dalszy ciąg ze str. 7

Wychowywali się razem po sąsiedzku i ta — wpierw dziewczynka z linianymi warkoczami, a potem dojrzewająca kobieta z niewinnie czystym, mocnym i gorącym ciałem, była jakby naturalną częścią tego krajobrazu, który był w nim i był jego własnością jednocześnie. Wreszcie była to miłość bardziej chłopięca, niedojrzała, którą poznał dopiero dzięki Elizie. Hilt.

Nie ma więc tej pewności, jakby się ich spotkanie w innym układzie rodzinnym skończyło. Czy jego zasady wzięłyby wówczas górę i tę miłość potrafiłyby w sobie pokonać, czy zerwałyby dotychczasowe więzy, o ile by nadal istniały. W tym rozpatrywaniu jest jakaś dawka moralnego luksusu, nie poddana próbie życia. Ale o tym też wie. I osadza surowo swój wybór nie dokonany, bo czuje jeszcze po latach, tylu latach, że ta droga, dojrzała, i w jakimś sensie jedyna miłość, byłaby wówczas silniejsza bo teraz daje o sobie znać jak zastarzała narośl na komorze serca.

Poznał Elizę — jak to w chwilach szczerości z samym sobą określał — w ostatnim momencie. Po rozprawieniu się z ojcem, starostą Michałem Lesieniem, po pierwszej rozprawie, bo druga czy kolejna miała miejsce w kilka lat później, kiedy Michał odzyskał swoją legitymację, Ludwik Lesień wdrapał się na powiatowe sekretariatstwo. Eliza pracowała wówczas w zarządzie głównym ZWM i przyjechała na kontrolę młodzieżowej organizacji. Starli się wtedy ostro. On ze swoim spokojem i rozwagą, znając ludzi jak znał każdy dom i drzewo w okolicy, przystopował jej trochę inkwizytorskie zapędy w stosunku do tych młodzików w białych koszulach i czerwonych krawatach. Zrobił to tym bardziej zdecydowanie, bo nie wiedział jeszcze, skąd wiatr wieje. A Eliza była doskonale zorientowana. Któż mógłby lepiej, jeśli nie córka człowieka, który zaczynał w Sielcach swą karierę wojskowego politruka jako oficer bez stopnia, a wrócił z Berlina jako dwugwiazdkowy generał. Ale ta jej wiedza nie wystarczyła do porozumienia. Ludwik woląłby stracić rękę, niż przyłożyć ją do represji, które zdawały mu się bezsensowne. „W ten sposób nie zjednoczymy narodu, ale potracimy ludzi, którzy muszą stanowić trzon tej przyszłej, wspólnej partii. Nie macie racji, młoda towarzysko, i nie groźcie mi, bo was każę odstawić za granicę powiatu. Tutaj od sadzenia ludzi, jak zwinia wóbec partii, ja jestem”.

Nie doszło jednak do tej swoistej ekstradykcji, a rozmowy, zrazu nadal polityczne kłótnie, przeniosły się do obok hoteliku miejskiego, gdzie Eliza zakwaterowała na kilka delegacyjnych dni. I jedna z tych rozmów przeciągnęła się do nadzwyczajnych godzin. I właściwie ta rozmowa nie dookończona, jak i noc bez snu, przesądziły wszystko. Zostały po niej dziesiątki pospiesznie pisanych listów i jego wypadły do Warszawy lub Łodzi, gdzie Eliza też miała swoje sprawy do załatwienia. Ludwik przeciwstawił się jej zakusom przenosin do Warszawy prawie przez rok, ale poddał się, kiedy otrzymał propozycję przejęcia do KW w Łodzi. Ta propozycja wyglądała całkiem naturalnie: „Sprawdził się, towarzyszu Lesień, trzeba iść wyżej, tutaj jest jeszcze bardziej potrzebny. A w waszym powiecie i tak trzeba zrobić zasadnicze zmiany i lepiej jak nimi ktoś inny, nie swojak, pokieruje”.

Eliza oznajmiła, że zostaje na stałe w tym mieście, jak się wtedy im wydawało, na zawsze.

A jednak, nie! Po dwudziestu latach dobrego współżycia, mimo syna, który szybko stał się największą nadzieją jej życia, zdecydowała się wyjechać. Wyjechać na nieprzejeźdźnym gniewie, burząc to wszystko, co latami razem z nimi budowała, walcząc o złudę, abstrakcję poddając się fobii na pół schizofrenicznej, wyemigrowała z kraju w sześćdziesiątym ósmym.

Sen, nie sen? Nie odróżnia krótkich zapaści od swoich rzeczywistych myśli. Po tych obydwu stronach jest tam. Jeszcze na statusie bezradnego obserwatora. Gdzieś obok jest Halina, te aż już mało ważna. Rozmawia raczej ze swoimi towarzyszami z „pionu”, uczestniczy w jakichś tłumnych naradach, spiera się gwałtownie z Romanem i udziela reprimendy Adamowi.

Ocknął się bardziej zmęczony, zły. Spojrzał na zegarek. Nie spał dłużej niż kwadrans. Jest zły na siebie, bo jakby pod koldrą zaciągniętą na głowę chciał ukryć się przed rzeczywistością. A w efekcie zmartwienia stają się jeszcze bardziej dokuczliwe. Najmniejsze o Romana. Ten idzie swoją drogą. Długo kluczył, wahał się, co z sobą zrobić, odsunął nawet na pewien czas, ale teraz wali prosto do celu. Co innego Adam, wprawdzie już ustabilizowany, ale z zadrą przeszłości w sercu, kruchy psychicznie, nieokreślony do końca, chociaż w swoich reportażach udaje, że zna życie na wylot i nic go nie dziwi. I jeszcze ta kobieta, młodsza o piętnaście lat, która zostawiła dla niego wszystko: rodzinę i pracę, kraj, przylgnęła do niego jakby całe życie byli razem, od której nigdy nie usłyszał słowa skargi.

Są jeszcze inni ludzie, żywi i umarli, którzy się dopraszają uwagi. Nie tak natrętnie, ale zawsze. Cały klan rodzinny Lesieńów w Kamieńcu, od przeszło stu lat zapisany w historii i dzień dzisiejszy miasta. A wśród nich Michał Lesień, już żywy konterfekt w rodzinnej galerii stryjów, wujów i dziadów. Głowa rodu, senior, jak się kiedyś mawiało, którego jeszcze nie zmogła osiemdziesiąta szósta jesień.

Z tym starcem mają swoje porachunki, chociaż wydaje się to niedorzeczne. Jego wiek przecież unieważnia wszystkie ziemskie sprawy, co Ludwik doskonale rozumie. Tak, jak nie wie, kto miałby być w tym sporze, ciagnącym się przez dziesięciolecia, stroną oskarżającą. Ma natomiast pewność, że ta przepaść między nim a ojcem, nie została spowodowana przez rodzinne dramaty. Samobójcza śmierć Karola tylko ten nieunikniony proces rozpadu przyspieszyła. Bo tak, jak męczeńska śmierć Marty, która przez całe swe życie nie rozumiała z ich męskich spraw, spowodowała w nim wspomnianą oschłość serca, tak ucieczka Karola przed odpowiedzialnością, jego zapadnięcie się w wielką nicotę, doprowadziło starego Michała Lesienia na pozycję dożywnego nieprzejeźdźnia. Fakt że chodziło tu o najbliższe więzy pokrewieństwa, że dotyczyły ojca i dwóch jego synów, nie mógł mieć większego znaczenia. Zadecydowała o ich losach historia. Zadecydowała, chociaż z taką samą słusnością można by powiedzieć, że zadrwiła.

Starszy syn Michała Lesienia, Karol, niedoszły nauczyciel, trafił do Armii Krajowej. Od przedwojny trzymał z braćmi Stroynowskimi i razem poszli do lasu. Ludwik też chciał iść z nimi, ale Karol sprzeciwił się krótko, nieodwołalnie: „ktoś z nas musi przeżyć. Ludzi, którzy potrafią strzelać, nam nie brakuje. Ja się bardziej przydam, jestem oficerem. Wystarczy, że jeden z nas dwóch nadstawia głowę”. Ale takimi argumentami mógłby przekonać niedorostka a nie dojrzałego mężczyznę, który w dodatku nazywa się Lesień. I Ludwik szukał innych kontaktów, i znalazł je w Gwardii Ludowej. Z jeszcze większą ochotą i zadowoleniem, bo z tymi półpankami z AK zadawał się wcześniej raczej z konieczności niż w poczuciu jakiejś, choćby minimalnej, wspólnoty. W ich rozumieniu historii lekcja Września niewiele znaczyła. Nadal bajdurzyli o ciążości państwa, jedynie pod kierownictwem nowej ekipy. Podpierał się jak proteza, demokracja, w co drugim słowie, ale Ludwikowi już to nie wystarczało. On, któremu wrześniowa tułaczka nie raz wycisnęła łzy bezradności, teraz, po nocach śniło się słowo: rewolucja. Inna nieco, niż tak, którą przepowiadał stryj Stanisław, w trzydziestym ósmym ściągnięty do Moskwy, bo rewolucja, którą podniosła polscy komuniści pod biało-czerwonym sztandarem, w imię całego narodu. W rzeczywistości było jeszcze inaczej.

Dalszy ciąg na str. 8

Ocenę stanu nauki polskiej pojawiające się w naszej publicystyce są jednoznaczne: nauka przeżywa głęboki kryzys, którego symptomami są malejąca efektywność nakładów na badania naukowe, nader rzadko w ostatnich latach owocujące znaczącymi sukcesami, poznawczymi lub praktycznymi oraz obniżanie się poziomu kształcenia na wielu kierunkach studiów. Zwraca się uwagę, że także w sferze moralnej zaobserwować można w środowisku naukowym wyraźny regres. Niechlubne praktyki lat 70 nie ominęły i tej dziedziny życia społecznego, zaznaczając się w postaci nadużyć w polityce kadrowej, grzecznościowych recenzji, „podkładkowych” ekspertów itp. Przyczyn tego stanu są rozliczne; mówi się o błędnej, a raczej obłędnej, polityce licencyjnej, o niewydolności systemu zarządzania powodującego brak zainteresowania ogólnego gospodarczych sprawami i postępu, o biurokratycznym systemie kierowania samą nauką itp. W odniesieniu do sytuacji w szkołach wyższych panuje zgodność, że przyczyną kryzysu był brak dostatecznej autonomii tych szkół, ograniczonej zwłaszcza po pamiętnych wydarzeniach marcowych w 1968 r.

Nie więc dziwnego, że pierwszym naturalnym odruchem środowiska akademickiego w dziele odnowy polskich uczelni był pęd ku autonomii. Spontaniczny ruch na rzecz samorządności szybko znalazł odzwierciedlenie w projekcie ustawy o szkolnictwie wyższym, będącej rezultatem wyczerpujących konsultacji i dyskusji środowiskowych. Nie czekając na formalne wejście ustawy w życie, w szkołach wyższych przeprowadza się już demokratyczne wybory władz oraz dokonuje się zmian programowych.

W pełni popierając te tendencje nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że autonomia szkoły wyższej jest co prawda warunkiem koniecznym, ale jednak nie wystarczającym dla podźwignięcia nauki z kryzysu, przynajmniej

CZESŁAW SIKORSKI

CZY TYLKO AUTONOMIA?

w jej akademickim wydaniu. Nalwnością byłoby bowiem sądzić, że wszystko co złe w systemie zwanym nauką, przenika z jego otoczenia. Środowisko akademickie nie stanowi monolitu; przez lata kształtowały się w nim pewne postawy i tendencje, które osobiście oceniam negatywnie, a które znajdowały dogodne warunki rozwoju w sytuacji braku autonomii szkół wyższych. Przywrócenie autonomii uczelniom nie oznacza jednak wcale, że te negatywne zjawiska znikną jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Rzecz w tym, że są one już ukształtowane, obrosły tradycją, głęboko zakorzenione w świadomości niektórych pracowników naukowych i w gruncie rzeczy nie potrzebują już „mecenatu” z zewnątrz.

O jakie postawy i tendencje chodzi? Otóż generalnie rzecz biorąc, chodzi o to wszystko, co wymierzone jest przeciwko tradycyjnemu ethosowi pracownika nauki, co w myśl złe pojmowanej nowoczesności każe pokpiwać z nieszkodliwego dziwaka ogarniętego pasją dociekania prawdy, co skłania do buntu przeciwko skromnemu terminowaniu u boku mistrza-profesora, nazywając je stosunkami feudalnymi w nauce. Rodowód opozycji przeciwko tradycyjnemu wzorcowi uczonego wydaje się w pełni zrozumiały.

W związku z szybkim rozwojem szkolnictwa wyższego w Polsce pojawiło się zwiększone zapotrzebowanie na pracowników nauki. Wzrosła także, co w tych warunkach nieuniknione, ilość niefortunnych decyzji o wyborze miejsca pracy w uczelni. Praca naukowa, podobnie zresztą jak wiele innych, wymaga określonych predyspozycji. Piątki w indeksie nie są jeszcze wystarczającą rękojmią sukcesów w pracy naukowej i dydaktycznej. Co robić gdy spostrzeżemy się pomyłkę? Możliwe są dwa wyjścia: albo zrezygnować z pracy w uczelni, albo próbować przystosować ją do własnych przekonań i możliwości. Kiedyś korzystano prawie wyłącznie z pierwszej alternatywy. Elitarne środowisko naukowe zbyt długo nie tolerowało intruza. Dzisiaj znacznie częściej wybiera się drugie wyjście. Wybiera się je tym łatwiej, im więcej widzi się wokół siebie podobnie nie przystosowanych i rozczarowanych. Nie tak dawno jeden z doktorantów powiedział mi w przypływie szczerości: „Wła pan, że mnie tam żaden naukowiec i nie mam zamiaru nim być, bo nie lubię dzielić włosów na cztery. Ja po prostu chcę zrobić doktorat”.

Tak więc, co pewien czas, pod hasłem postępu i nowoczesności, formułowane i rozpowszechniane są poglądy, które, zdaniem ich autorów i zwolenników, powinny wstrząsnąć zmuszającym gmachem nauki i techną powiew świeżej myśli do jego zatęchłego wnętrza. W rzeczywistości zaś mamy do czynienia z mitami i stereotypami, które mają pełnić funkcję parawanu, którym bezpiecznie można zasłonić własną niekompetencję i brak umiejętności.

Nie rozszarpać sobie pretensji do wyczerpującego ujęcia, podaje niżej parę przykładów takich tendencji o najbardziej ogólnym charakterze.

MIT ZESPOŁOWOŚCI W PRACY NAUKOWEJ

Praca naukowa polega na wykorzystywaniu wyników badań zakończonych, na kumulacji wiedzy i w tym sensie jest pracą zespołową, co jest stwierdzeniem przez nikogo nie kwestionowanym i banalnym. Mit zespołowości polega na tym, że tezę tę odnosi się do samej techniki rozwiązywania problemu naukowego do sfery pracy twórczej, w której badacz staje oko w oko z problemem i albo go potrafi rozwiązać, albo nie. Otóż tej konfrontacji właśnie, tego osamotnienia obawiają się niektórzy naj-



bardziej, głośno nawołując do „nowoczesnego” zespołowego sposobu rozwiązywania problemów naukowych. To prawda, że w zespole jest łatwiej, można też schować się za czyjeś plecy, co nie przeszkadza partycypować w końcowym sukcesie. Jak dotąd jednak, twierdzenia naukowe formułowane są na podstawie indywidualnych dociekań, a nie głosowania. Szczerzenie się lekceważącemu, ironicznemu stosunkowi do samotniczych wysiłków badawczych, określanych złośliwie mianem „badań gabinetowych”, jest niczym innym jak podcinaniem gałęzi, na której cała nauka jest usadowiona.

DEHUMANIZACJA PROCESU DYDAKTYCZNEGO

Rola tzw. środków audiowizualnych w procesie dydaktycznym jest ulubionym przedmiotem dyskusji w środowisku nauczycieli akademickich. Zwolennicy tradycyjnej „kredy i tablicy”, mimo że nie stanowią mniejszości, są w tej dyskusji raczej bierni i sprawiają wrażenie zalekanych. Trudno się dziwić, ponieważ impet, z jakim tradycjonalistów atakują „postępowcy”, będący za pan brat z techniką i jej bliskotłiwymi efektami, jest ogromny. Zdrowy rozsądek podpowiada, żeby nie odrzucać pochopnie niczego, co może pomóc w realizacji przyjętych celów dydaktycznych. Co wspólnego ze zdrowym rozsądkiem mają jednak koncepcje sprowadzające rolę nauczyciela akademickiego do funkcji operatora naciśniętego odpowiednio guzika zgodnie z wcześniej opracowanym precyzyjnym planem ewangelizacji? U zwolenników technicyzacji zajęć nie trudno dostrzec podobne motywy, jak przytoczone wyżej: środki techniczne stanowią zasłonę, za którą ukryć można awyżajny brak

umiejętności dydaktycznych. Jeśli ktoś powie, że zastosowanie środków audiowizualnych czyni zajęcia bardziej atrakcyjnymi dla studentów, to odpowiem, że epatowanie techniką i „pokazywanie zajączków” może być dobre w przedszkolu; w szkole wyższej nie niestety nie zastąpi myślenia. Kto tego nie rozumie, ten nie powinien studiować. Dlatego zamiast walczyć o projektory, walczyć się powinno o odpowiednie kwalifikacje kadry nauczającej.

„UPRAKTYCZNIANIE” NAUKI

Imperatywne hasło łączenia teorii z praktyką zostało chętnie zaakceptowane przez niektórych pracowników naukowych. Widmo metamorfozy akademickich poszukiwaczy prawdy w wyrobników trzaskających temat za tematem na zewnętrzne zamówienia nie tylko ich nie przeraża, ale oczekiwane jest wręcz z utęsknieniem: nareszcie nie trzeba będzie bijać w obłokach; przystępuje się odpowiedni zestaw narzędzi badawczych i będzie można zająć się czymś konkretnym. Czy świadczy to o cennej społecznie pasji ulepszenia rzeczywistości? Nie oszukujmy się. O tym, że dla praktyki najlepsza jest dobra teoria, wiadomo nie tylko od czasów Kopernika. O zasadach społecznego podziału pracy także. Powody akceptacji tego hasła są znacznie bardziej prozaiczne: nie mogą sprawdzić się na polu działalności naukowej, z ulgą i nadzieją przyjmują je wszelkie sygnały, wskazujące na to, że działalność tę można rozumieć zupełnie inaczej. Tymczasem uniwersytet, w którym badania podstawowe zeldą już całkowicie do roli prywatnego hobby, a na pierwszym planie znajduje się masowa produkcja rozwiązań bezpośrednio użytecznych w praktyce, po prostu i z koniecznością, przestaje być uniwersytetem. W jego miejsce powstaje placówka, której potrzeby istnienia nikt nie może poddawać w wątpliwość, ale która funkcjonować powinna obok, a nie zamiast uniwersytetu.

POZAMERYTORYCZNE KRYTERIA OCEN

Stosowanie pozamerytorycznych kryteriów w ocenie pracowników naukowych, pozwalające na wspinanie się po szczeblach (pseudo) naukowej kariery niekompetentnym „aparatchkom”, czy po prostu zwyczajnym ewanukom, to temat dostatecznie wyeksploatowany, żeby go w tym miejscu rozwijać. Warto jedynie zwrócić uwagę na jedno: furtkę szeroko otwartą przez władze w 1968 r. trudno jest domknąć nie tylko dlatego, że dla wielu naukowych nieudaczników stanowi ona jedyną możliwość awansu, ale również dlatego, że u wielu przełożonych kryteria pozamerytoryczne „wesły w krew”, stały się już niestety uswięconym tradycją elementem okresowej oceny pracowników.

W wielu dziedzinach życia społecznego wskazuje się na hamowanie procesów odnowy na skutek działania sił wewnętrznych, odsrodkowych, zainteresowanych w utrzymaniu status quo. Powyższe przykłady postaw i poglądów przytoczyłem po to, aby wykazać, że nauka nie jest bynajmniej wyjątkiem. Sama autonomia szkół wyższych niczego jeszcze nie zatawia. Potrzebny jest bowiem świadomy, konsekwentny proces powrotu do wartości podstawowych w nauce, do tradycyjnego ethosu pracownika nauki. Nie ulega przy tym wątpliwości, że proces ten możliwy jest tylko w warunkach autonomii.

* Dr hab. Czesław Sikorski jest pracownikiem naukowym Instytutu Organizacji i Zarządzania Uniwersytetu Łódzkiego.

Foto: R. Łucyszyn

Dalszy ciąg ze str. 1

Niepokojące sygnały zaczęły napływać m.in. z województw łódzkiego, piotrkowskiego, wrocławskiego, warszawskiego, katowickiego. Na alarm uderzono zwłaszcza w branżach: włókienniczych, kolejarskich, chemików, papierników.

Np. sam tylko Związek Włókienniczy jeszcze w 1979 roku przeznaczył na działalność kulturalną i biblioteczną ze środków rad zakładowych i ZG prawie 70 mln, mając pod swą opieką przeszło 800 różnych placówek i ponad 600 zespołów artystycznych. Dzisiaj kwota ta jest o wiele niższa (nie da się zresztą porównać z poprzednią), nie tylko dlatego, że zmniejsza się liczebność związku (z ponad 700 tys. do 250 tys. członków). Wzrosły przecież świadczenia, inaczej już dzielić się składki członkowskie itd. itp.

Wiele placówek trudno jest utrzymywać na starych zasadach. W Łodzi np. głośna była w zeszłym roku sprawa likwidacji kina „Popularne” przy ZPB im. J. Marchlewskiego. Kino to, będące placówką związkową, włączoną do sieci kin miejskich, przynosiło rocznie ok. 200 tys. zł deficytu, a ze związkowej kasy pokrywano m.in. koszty remontów, eksploatacji i konserwacji aparatury. Mimo zamiany kategorii (z II na I) OPRF nadal przysłał tu filmy drugo- a nawet trzeciorzędne, agrańe i niechodliwe. Decyzją związkowców, kino stało się więc „kinem SOLIDARNOSCI”. Trafiają tu obecnie filmy nie znajdujące się w normalnym rozpowszechnianiu, odbywają się też interesujące projekcje przedpremierowe (np. ostatnio „Człowieka z żelaza”). Inna rzecz, czy ten cenny pomysł — realizowany, o ile mi wiadomo, drogą prywatnych kontaktów i przy stosunkowo wysokich cenach biletów — można uznać za rozwiązanie modelowe i dające się zastosować na szerszą skalę.

W „Politeksie” etaty pracowników merytorycznych Zakładowego Domu Kultury utrzymywane były dotąd z funduszu socjalnego, a na imprezy i prowadzenie amatorskiego ruchu artystycznego szły środki z Rady Zakładowej. W tej chwili — jak powiedziała mi kierownik ZDK Halina Pabianowa — oba związki doszły do porozumienia i będą wspólnie finansować działalność kulturalną. Zakres dotacji nie jest jednak większy niż do tej pory, a wszystkie środki muszą i tak przechodzić przez kasę Rady Zakładowej. Nie zmienia to natomiast zasady finansowania z funduszu socjalnego. Nakaz oszczędzania postawił jednak kierownictwo ZDK wobec potrzeby wyboru. — Nie stać nas na wszystko — mówi kier. H. Pabianowa — dlatego zatrzymaliśmy tylko to, co jest najwartościowsze, choć w naszym wypadku — i najdroższe: zespół pieśni i tańca. Do wniosku, że warto go dalej dotować doszła również Komisja Zakładowa NSZZ „Solidarność”. Zlikwidowaliśmy natomiast dwa małe zespoły estradowe: rzeźbiący od urzędników, uboższy z kilku dziewcząt. Straty to nie wielkie, a uzyskane środki można skoncentrować dla działalności zespołu pieśni i tańca — kończy H. Pabianowa.

Tę zastępową dla zakładowej kultury placówek ominęło widmo likwidacji. Nie zawsze jednak można tego dokonać siłami wewnątrzzakładowymi. Niektórym placówkom konieczna była pomoc z zewnątrz. Kilka — przynajmniej do końca roku — ma zapewniony byt i utrzymanie ciągłości pracy dzięki inicjatywie Wydziału Kultury UML i Łódzkiego Domu Kultury. Należy do nich przede wszystkim ZDK przy ŁZPB im. Obrońców Pokoju. ŁDK będzie bowiem do końca roku opierał pensje wszystkich instruktorów ZDK „Unioteksu”. Oprócz tego do maja br. finansował on również część jego działalności imprezowej. Na podobnej zasadzie Łódzki Dom Kultury, reprezentujący tu państwową kiesę, utrzymuje grupę pracowników — instruktorów amatorskiego ruchu artystycznego w Centrum Kultury Budowlanych, a także (choć dotyczy to już pojeźdźczych osób) w ZDK „Teofilów” i ZDK „Energetyk”.

Przykłady te ilustrują tendencję do wspomaganiania, a nie zaś całkowitego przejmowania (tak jest z ostatnim z wymienionych domów kultury, będącym już filią Dzielnicy Domu Kultury) zakładów placówek przez państwową administrację. Na jak długą metę będzie to jednak możliwe? Nikt przecież nie zwolnił dotąd zakładów pracy z obowiązku poprodukcyjnych świadczeń na rzecz załóg, z pełnienia — zadekretowanej przecież w dotychczasowej ustawie o przedsiębiorstwach — funkcji wychowawczo-kulturalnej.

W ŁDK na pomoc dla zakładowych placówek k-w planuje się przeznaczyć w tym roku pół miliona złotych. Ale — zdaniem wicedyrektora ŁDK Elżbiety Krawiec — tendencja do ograniczania działalności, likwidowania placówek bądź przekazywania ich miastu mogą się nasilić i to jeszcze w tym roku. Co wtedy? Możliwości finansowe Wydziału Kultury UML i ŁDK kurczą się. Zresztą pomoc tych instytucji to ostateczność. Wcześniej trzeba wyczerpać możliwości tkwiące w samych zakładach pracy, w gestii terenowej administracji.

Przed problemem zapewnienia środków dla Międzyzakładowego Domu Kultury Włókienniczy stanął np. ostatnio naczelnik Zgierz. Poszczególne zakłady zaczęły bowiem wycofywać swoje udziały w funduszu socjalnym. Zabrakło pieniędzy na działalność imprezową. Są jeszcze na utrzymanie etatów... Trochę wcześniej podobny los dotknął widzewskie Centrum Kultury Włókienniczy. Tu z partycypowania w kosztach wycofał się „Dywan” (z podobnym zamiarem nosi się ponownie także „Polanil”). Głównym sponsorem

CKW jest obecnie „Bistona”. Placówka przetrwała. Ale na jak długo?

Nie udało się to innym, np. klubowi „Ariadna”, który wkrótce przejął ma Dzielnicy Dom Kultury na Widzewie. Ten DDK powstał zresztą przed laty w oparciu o klub zakładowy „Przasnica” i może być dowodem na to, że opisywane tu tendencje występowały na długo przed sierpniem.

Dodam również, że zagrożone jest ponadto istnienie filii Zakładowego Domu Kultury przy ZPB im. Szymona Hannama na osiedlu przy ul. Pojezierskiej, choć głównej siedziby tego ZDK fabryka zapewniła dalsze warunki rozwoju.

Te fakty niepokoją. Niepokoi obojętność, z jaką część działaczy związkowych spogląda na podupadanie zakładowych placówek kultury. Daje to np. argument „przetargowy” przeciwnikom „Solidarności”, którą jakoś szczególnie chętnie atakuje się za rezygnowanie z patronatu nad kulturą. Kursują nawet pogłoski, że łódzkiej „Solidarności” nie zależy właściwie na mecenasowaniu domów kultury, ale na paru placówkach, w których mogłaby prowadzić działalność propagandową (próbę tejże, zresztą ciekawą, obserwujemy w ZDK im. Marchlewskiego). Czy to jest cała prawda o kulturalnych ambicjach działaczy „Solidarności”? Sądzę, że nie. Tylko, że zbyt mało robią oni, by przeciwstawiać się takim opiniom. „Solidarność” nie chce dziedziczyć starego modelu kultury. Widzi potrzebę zmian w funkcjonowaniu placówek zakładowych. Ale zbyt często kończy się to na ogólnych, ideowych raczej tylko deklaracjach. Bra-

CZEKANIE NA MECENASA

kuje natomiast konkretnych pomysłów, praktyki. A także koordynacji rodzących się tu i ówdzie inicjatyw (komórka odpowiedzialna w Zarządzie Regionalnym za sprawy kultury jest jeszcze w fazie organizowania się, z których mogłoby narodzić się — związane z życiem, z autentycznymi potrzebami ludzi pracy — program.

W grudniu zeszłego roku Niezależny Związek Zawodowy Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego wystąpił do NSZZ „Solidarność” i Związku Zawodowego Włókienniczy „Współpraca” z propozycją wspólnego porozumienia z resortem przemysłu lekkiego na temat przyszłości zakładowej kultury. Projekt ten eliminował — jak podkreśla kierownik Wydziału Kultury i Informacji NZPPWOIS Bohdan Jachowicz — wszelkie partykularne interesy, a jako cel stawiał (cytuje z tekstu projektu) „ochronę, zabezpieczenie organizacyjne i finansowe dotychczasowego dorobku kultury środowisk pracujących przemysłu lekkiego oraz zapewnienie dalszego rozwoju”.

Niestety, ZZW „Współpraca” w ogóle nie odpowiedział na tę ofertę, a rozmowy z „Solidarnością” trwały do dziś. Szansa na porozumienie była na przełomie lutego i marca. Przeszkodziły strajki. Potem moment ten obojętna m.in. kampania wyborcza w „Solidarności”, zmiany w składzie Tymczasowej Komisji Włókienniczy tego związku (trzeba było zacząć rozmowy od początku); ostatnia zaś reorganizacja ministerstwa zdeaktualizowała wcześniejsze z nim ustalenia. I nawet trudno powiedzieć, czy to, że nie doszło do podpisania porozumienia jest wynikiem nieufności, obojętności, taktyki, czy braku programu...

Tymczasem w maju w Ministerstwie Kultury i Sztuki odbyła się narada z udziałem delegacji związków zawodowych, zainteresowanych resortów i Komisji Planowania. Przedstawiono tam pod ocenę projekt uchwały Rady Ministrów w sprawie zakładowej działalności kulturalnej. Projekt ten odrzucono (główne zarzuty: nieżyłczość i brak nowych rozwiązań). Wyłoniona z grona zebranych grupa robocza przygotowała drugą wersję. I ta jednak nie zdobyła uznania wszystkich. Zarzynała się co prawda zgodność między związkowcami a MKiS, ale po drugiej stronie znaleźli się przedstawiciele innych resortów, np. finansów i pracy, plac i spraw socjalnych.

W jakim kierunku idą propozycje zmian? Nie lekceważąc potrzeby reform programowych w działalności zakładowych placówek kultury, skupiają się one przede wszystkim na administracyjno-finansowych zasadach funkcjonowania. Główną ideą jest włączenie zakładowych placówek k-w w strukturę przedsiębiorstw. Zakłady pracy miałyby przejąć zatrudnienie i opłacanie instruktorów amatorskiego ruchu artystycznego, dotąd wynagradzanych z funduszu rad zakładowych.

Pracownicy k-w i służb bibliotecznych włączeni zostaliby w zakładowe systemy przedsiębiorstwa, tak jak inni pracownicy przedsiębiorstwa. Resorty zwierzchnie wydzielałyby środki na część działalności k-w (chodziliby tu o przejęcie majątków bibliotek i opłacanie zakupów książek). Celem tych działań byłoby odejście funduszu socjalnego, z którego wiele sum pochłaniały dotąd etaty pracowników remonty i konserwacje budynków zakładowych placówek kultury, co jest niezgodne z ideą tego funduszu.

Od lat mówi się również o tym, by działalność kulturalną w zakładach pracy finansowała była z funduszu obrotowe-

go. — Oznaczałoby to — mówi H. Pabianowa z ZDK „Politeksu” — że trzeba by zastanawiać się nad każdą złotówką, organizować mniej imprez. Ale może byłoby to imprezy lepsze. A zatem: koszty działalności kulturalnej pokrywałby zakład z „obrotówki”, a pensje — zakładowy fundusz plac, a nie fundusz socjalny. Tak od strony finansowej widzą zmiany działacze. Z ich inicjatywy propozycje te zostały włączone do dyskusji o przygotowanych projektach ustaw.

Alle prace nad porządkowaniem aktów normatywnych dotyczących zakładowych placówek kultury powinny mieć szerszy zakres. Np. wciąż na uregulowanie czeka status pracownika — upowszechniającego kultury. O potrzebie określenia tego statusu mówi m.in. „Założenia programowe na IX Zjazd”.

Wspomniane projekty nie przekreślają konieczności podjęcia działań natychmiastowych, doraźnych. Pierwsze sondaże wykazały, że na najniezbędniejsze potrzeby zakładowych placówek kultury brakuje w skali kraju 150 mln zł. Po kilku miesiącach suma ta urosła. Gdy w maju br. zwrócono się do rządu, ten dał związkom obietnicę przyznania 600 mln. Miano tą sumą wesprzeć jeszcze w I półroczu 1981 roku zakładowe placówki kultury i kluby sportowe. Ostatnio słyszałem jednak, że w tej sumie mieści się również dofinansowanie przedszkoli i żłobków... Uzgodniono już zasady rozdziału tej kwoty, choć pieniądze wciąż jeszcze nie ma. — Porozumienia do tej pory nie podpisano. W ten sposób — komentuje B. Jachowicz z NZPPWOIS — stracona została szansa zagwarantowania bytu w dotychczasowych formach wielu zakładowym placówkom kultury.

I znów rodzą się pytania... Czy jest to wynik niedbalstwa, panującego „na górze” bałaganu, czy zmiany decyzji wobec braku środków? I jak z tą obietnicą pogodzić inne fakty? Oto w tym samym czasie, gdy ze związkowcami dyskutuje się na temat sposobów ratowania zakładowej kultury, wchodzi w życie nowe rozporządzenie socjalne, które pomija wcześniejsze ustalenia związków i resortów, i otwiera możliwości przekazywania zakładowych placówek k-w administracji państwowej. Jednocześnie rozsyła się do fabryk ową pierwszą, niedoskonałą i odrzuconą na majowej naradzie w MKiS, wersję projektu uchwały w sprawie zakładowej działalności kulturalnej. Część dyrektorów — np. w Zjednoczeniu Przemysłu Bawełnianego — skwapliwie skorzystała z tych „furtok” i przekazała zakładowo-związkowe obiekty państwu.

Balagan to tylko, czy celowe działanie, którego intencją jest blokowanie inicjatyw przez związki zawodowe zmian w systemie funkcjonowania tych placówek? Związki branżowe — np. ZZPPWOIS — idą do zachowania dotychczasowego, zakładowego charakteru placówek, za kontynuacją ich działalności — po koniecznych korektach programowo-organizacyjnych — wypowiada się również wielu działaczy „Solidarności”. A jednak usiłuje się przeciwstawiać tym tendencjom i robi się wszystko, by zachęcić zakłady pracy do pozbywania się własnej, posiadającej często znaczny dorobek i wieloletnie tradycje, bazy kultury. Próbuje się negować powszechną zasadę otwartości zakładowych kin, klubów, świetlic i domów kultury (że otwartość ta jest faktem świadczą choćby przykład Zespołu Pieśni i Tańca „Politeksu”, w którym występuje tylko dwóch pracowników macierzystego zakładu...). Tymczasem w zasadzie ogólnodostępności tkwi jeszcze jedna, poważna szansa ratowania tych placówek. W kosztach ich utrzymania powinny bowiem partycypować wszystkie środowiska, które z placówek tych korzystały dotąd.

Nie wiem czym można tłumaczyć plynące „z góry” impulsy zachęcające do rezygnowania z zakładowego i związkowego charakteru przyfabrycznych klubów i zespołów. Wiem natomiast, że hamowanie głębiej idących reform na rzecz mniejszego związania tych placówek z zakładami pracy i związkami zawodowymi jest sprzeczne z tą ważną rolą, jaką organizacjom społecznym i zawodowym przypisują w mecenacie nad kulturą np. „Założenia programowe na IX Nadzwyczajnym Zjeździe ZZPR”.

W punkcie 107 „Założeń...” czytamy m.in.: „...umacnianie i wspieranie będą samorządne formy gospodarowania środkami przeznaczonymi na kulturę i działalność artystyczną, w tym — amatorską. Zwiększona rola powinien odgrywać społeczny mecenat kultury, reprezentowany przez regionalne stowarzyszenia kultury, związki zawodowe, organizacje młodzieżowe oraz samorządne organizacje społeczne.”

Jak na razie jednak — rzeczywistość po sierpniu nie potwierdza, niestety, tych założeń. Przynajmniej w części dotyczącej związków zawodowych i zakładowych placówek upowszechniania kultury. Nad zakładową kulturą zbierają się chmury. Rozpedzić je mogą tylko rozwiązania radykalne. Takich zaś brakuje. Zastępuje je manifestowana werbalnie przez wszystkich: Wydział Kultury KC ZZPR KKP NSZZ „Solidarność”, Komisję Porozumiewawczą Branżowych Związków Zawodowych, kierownictwa ministerstw, dyrekcje zjednoczeń i zakładów, lecz chyba jednak pozorna zgodność, że rozwiązania takie są konieczne. Ze system funkcjonowania zakładowych placówek kultury wymaga — zwłaszcza pod względem finansowym — przebudowy. Rzecz w tym, iż z tej zgodności niewiele wynika.

Najwyższa pora ratować robotnicze ośrodki kultury — dla robotników.

TOMASZ SOLDENHOFF

CZŁOWIEK z nomenklatury

Jerzy Wawrzak

Ciąg dalszy ze str. 8

Choć ten jeden jedyny raz historia stała się dla tego umęczonego narodu sprzymierzeńcem.

Nie wszyscy to zrozumieli, albo ich wrodzona nieufność nie pozwoliła im wytrwać w wierze, aż do czasu powszechnej jasności i aprobaty. Karol ujawnił się, ale kiedy posyłał, że o takich jak on mówią jako o polskich faszystach i na własne oczy zobaczył propagandowy plakat przestrzegający przed zapłutymi karłami reakcji, przestał nocować w domu. Po aresztowaniu zaś swego byłego dowódcy, Jurka Stroynowskiego, nie go już nie mogło powstrzymać przed powrotem do lasu. I już tego faktu nie nie mogło odmienić ani usprawiedliwić. Sprawiedliwość każe powiedzieć, że do tej ucieczki czy do powrotu na lesne bezdroża został zmuszony przez tych komunistów, którzy mieli wąskie klapy na oczach i widzieli sytuację w uproszczonym politycznie i psychologicznie wymiarze. Ale fakty są takie i jest to ich tragiczna nieodwracalność, że Karol znów zaczął strzelać. Tym razem do żołnierzy z czerwoną gwiazdą i do żołnierzy w rogatywkach z białym orłem bez korony, że w tych swoich marszach, atakach i ucieczkach przed pogonią przyłożył nie raz rękę do śmierci ludzi, z którymi już jego młodszy brat był związany na śmierć i życie.

Los nie zdradził z nich do końca. Nie spotkali się z bronią w ręku, Ludwika szczęśliwie przerzucono na kilka miesięcy na Lubelszczyznę. Wrócił, kiedy już było prawie po wszystkim. To znaczy jeszcze zdążył uczestniczyć w kilku, znamienitych dla przyszłości jego stosunków z ojcem, wydarzeniach. A więc, przede wszystkim w jego odwołaniu ze stanowiska starosty, na co Michał Lesień nie przystał bez walki. Stała za nim cała powiatowa organizacja PPS, ale był przeciw, obiektywnie eliminował go z uczestnictwa w politycznym układzie dwóch robotniczych partii starszy syn, oczekujący na rozprawę sądową w łódzkim więzieniu. Ten zaś drugi, młodszy, któremu mimo wszystkich okoliczności, widać ufano też musiał stać się przeciwnikiem. I nie tylko musiał, ale chciał tego, zakładając, że z tych dwóch prawd tylko jedna, którą on właśnie wybrał, jest prawdziwa.

W wiedzy Ludwika o tym okresie, tej ówczesnej i wzbogaczonej latami doświadczenia, odkrywania kolejnych pokładów jeszcze innych prawd, jest luka. Niewiedza dotycząca wyłącznie jego partyjnej biografii, jej niewielkiego fragmentu, który jednak mógł wszystko w jego życiu odmienić. Kto mógłby to, powiedzmy, niedopowiadanie uzupełnić właściwymi faktami? Na pewno nie znalazłby żadnego odpowiedniego dokumentu czy choćby notatki w centralnym partyjnym archiwum. Nie znalazłby też świadka, bo takie rozmowy odbywały się bez świadków. A ci, którzy mogli podjąć decyzję, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo i kadry, gdzie są? Mógłby coś na ten temat powiedzieć generał dywizji w stanie spoczynku, Ernest Hilt, ale już od lat nie żyje. A jego córka, Eliza? To niemożliwie, nie tylko dlatego, że dzieli ich pół kontynentu i ocean. Przecież nie uczyniła tego przez dwadzieścia lat małżeństwa, ani nawet w chwilach rozstania, daleka od oszczędzania czegośkolwiek. Tak, że Ludwik z tą niewiedzą musi się pogodzić, poddać niemożliwości sprawdzenia faktów. Tylko jak cież, czasami dający znak istnienia, powraca pytanie: czy ufano mu, że był tym, kim był, że walczył; czy tej pieczęci zaufania nie przystawił w jego kartotece związek z Elizą, a tym samym jej ojcem i jego przyjaciółmi. Bo przecież wtedy nie tylko tak proste związki sobie kojarzono, wężąc zewsząd prowokację. Śmieszne teraz posądzenie, ale wówczas? Kto też naprawdę stał za tym jego przeniesieniem do województwa? Czy wyłącznie zdecydowały zasługi Ludwika? Już się nigdy tego nie dowie, nikt inny także, ale przez to nie jest mu źle. Może więc jest zbytby uczulony, bo Eliza by go nie oszczędziła w gniewie. Ojciec także, jeśli by tak przypuszczał. Tak, stary na pewno by mu wygrał z kim się związał. A on wtedy kontaktował się z nim jak z konspiratorem, najpewniej dlatego, żeby na Ludwika nie spadło fałszywe podejrzenie.

Doszło wtedy też do nocnej rozmowy bez świadków, której przebieg był z góry przesadzony. Ludwik umył ręce, ba, oddał się gniewnie od starszego brata. Już tylko powodowany litością nad ojcem, tłumaczył: „Karol musi zostać ukarany. Możemy mieć nadzieję, że nawet gdyby dostał wyrok śmierci, uratuje głowę. Będą amnestie, czasy się zmieniają, uspokoją. Odcierpi swoje przez, powiedzmy, dziesięć czy piętnaście lat i może zacząć od początku. Nie mu nie może pomóc, ojciec, a nawet gdybym mógł, nie zrobiłbym tego. Zabił ludzi, komunistów, Polaków, to teraz nie najważniejsze. Jest przestępca, który musi ponieść karę”. Michał już nie odezwał się więcej, nienawidził w tej chwili młodszego syna ale nie mógłby go upokorzyć fałszywym oskarżeniem, że ten odmawia pomocy bratu w obawie, by nie zaszkodzić sobie samemu.

I pewnie w pamięci Michała, w tej zapiekłej przez dziesięciolecia wrogości do młodszego syna zapadły chyba najbardziej tylko te trzy słowa: „nawet gdybym mógł...”, bo samobójcza śmierć Karola na kilka dni przed rozprawą z czasem stawała się obumarym, wyblakłym wspomnieniem, które już nie rozdrażnia serca, tylko wywołuje bolesne westchnienie, żal wykwity lżną na starczym policzku, że mogło być inaczej. Ludwik zaś nie mniej dawno pogodził się z myślą, że inaczej być nie mogło, że to okrucieństwo czy barbarzyństwo losu jest ceną, jaką trzeba było zapłacić w niejednej polskiej rodzinie, że oni, Lesieniowie, po prostu nie mogli stanowić wyjątku, kiedy we krwi, nędzy i rozpacz, w maleńkiej nadziei, rodziło się nowe.

Świadomość bliskiego spotkania z ojcem, tym razem spotkania narzuconego przez okoliczności, nie daje Ludwikowi spokoju. Bo żadne z nich, na przestrzeni trzydziestu lat, ostatnio coraz rzadsze, nie było dobre. Tamte sprawy z lat czterdziestych nie nie odżyły słowem. Podobnie jak nieco żalona i groteskowa próba powrotu Michała do polityki po pięćdziesiątym szóstym. Ale czyż trzeba słów, aby tę wieczną niezgodę Michała odczuć?

Dał jej tak wyraźny, demonstracyjny wyraz, podczas swego osiemdziesięciolecia. Nie przyjął wyciągniętej ręki ponad tą bramą czasu. Na sesji powiatowej rady miał otrzymać komandorję Orderu Odrodzenia. Nie przyszedł. I sekretarz i naczelnik powiatu przyszedł do domu z czerwonym pudełkiem. Wyszli do nich w rozczelnym szlafroku, nie ogolony i podпиты. Nawymyślał im i wyrzucił za drzwi, razem z tym czerwonym pudełkiem. Odpowiedział mu o tym w kilka dni później zażenowany sekretarz, a Ludwik, po raz któryś, czuł jakby spóźnioną dumę ze Starożytności, wiecznego opozycjonisty, z którym nawet na pół słowa nie mógł się zgodzić. Czyżby więc tę niezgodę miał zabrać do grobu? Co mu wydrukować na klepsydrze? Komandor orderu, czy zasłużony działacz? Kim był przez swoje długie, pokrętnie życie, przed niczym go nie oszczędzające. I jak znów będzie wyglądać kolejne ich spotkanie? Czy znów pełne milczenia, niedomówień, podskórnej wrogości? Czy może wreszcie dojdzie do pojednania, na które zostało tak mało czasu?

Wraca Halina, prezentując nową, efektowną fryzurę. Jest jej wdzięczny za ten szybki powrót. Z ulgą zabiera się do krzątaniny wokół własnej osoby, aby zaprezentować się jak najlepiej. Nie musi już o niczym myśleć, a kilka kieliszków cierpkiej wina, które ma zamiar wypić na przyjęciu, przyniesie pewność spokojnego snu. Potem już zaczenie się tylko oczekiwanie, przeżywanie rutynowymi zajęciami, oczekiwanie na dzień odlotu do Warszawy.

czerwiec 1980 r.

*) fragment powieści.

„To, co można osiągnąć kolorystycznie, metodą podniecania koloru, osiągnął Matisse w sposób doskonały. To źródło sensacji jest wyczerpane.

Źródło impresjonistów — wyczerpane.

Moje nozdrza czuły, że z tych źródeł nie ugaszę już pragnienia.

Wobec Van Gogha moje serce się zamknęło.

Odstawili mnie od pierś. Za długo byłem niemowlęciem.

Jan Cybis (pisanie w roku 1960)

*

Dwie równoległe przecina się w nieskończoność. W malarstwie prawdziwym, mimo różnic koncepcji, drogi gdzieś się schodzą, choć różniokierunkowe, dobre malarstwo jest jedno. To słowa Jana Cybisa wyrażane w wzdychaniach niedawno przez PIW zapiskach „Notatki malarzkie. Dzienniki 1954—1966”.

Niezwykłe to notatki i dzienniki. Raz dlatego, że pisane przez jednego z największych naszych malarzy; w jego artystycznej karierze mieści się cała niemal historia polskiego koloryzmu, którego był współtwórcą i wiernym kontynuatorem. Dwa, że pisal je niezwykle ciekawie o szerokiej, otwartej na świat i ludzi horyzontach, żywej inteligencji, wielkiej kulturze i dyskretnie odwadze sądu. Wreszcie, że przez trzydzieści lat (1941—1971) mniej lub bardziej systematycznie notowania, udało się autorowi zachować tajemnice tychże zapisków. Rodzina odkryła je po jego śmierci — kilkanaście zeszytów pisanych ołówkiem, prawie bez skreśleń, jak się potem okazało zawierających blisko 1.900 stron maszynopisu.

Jan Cybis zmarł w 1972 roku. Ze zrozumiałych względów nie można było w chwili obecnej opublikować całości dzienników. Wyboru tekstu dokonał długoletni przyjaciel artysty Dominik Horodyski wraz z żoną artysty — Heleną Zarembą-Cybisową. Oddane do naszych rąk notatki obejmują lata 1954—1966. Ponadto w książce znalazły się liczne reprodukcje kolorowe (miejscami, nie najlepszej jakości) i czarno-białe oraz zdjęcia i dokumenty. Jako bardzo pożądane uzupełnienie.

Cybis pisał przede wszystkim o sztuce, a przede wszystkim o malarstwie, które dla tego chłopskiego syna ze wsi Wróblin na Śląsku Opolskim było pierwszą, najważniejszą sprawą w życiu. Było powodem i celem, przyczyną i skutkiem wszystkiego. Notował bez zamyślenia publikacji — to widać. Nikomu też zapisków swoich nie pokazywał. Notatki traktował jako rzecz na wskroś prywatną, intymną. Były one dla niego sposobem, metodą samopoznania i samokontroli. Stanowiły też zapewne swego rodzaju zabezpieczenie przed procesem twórczym, fascynującym i pełnym dramatyzmu dzięki swej absolutnej szczerości, odrzuceniu wszelkiej pozy i maski. To wyjątkowy pamiętnik wyjątkowego człowieka, uwikłanego bez reszty w problemy malarstwa. Cybis często powtarzał, że sztuka jest małym światem. Dobrze po przeczytaniu dzienników to jego powiedzenie nabiera sensu i głębi.

Odrębna sprawa jest język i forma literacka zapisków. Język to polszczyzna u tego śląskiego chłopca, który chodził do niemieckich szkół i dziesięć lat swej młodości spędził we Francji. Obok Cybisa — malarza jawi się oto pisarz wielkiego

ARTYSTA JEST WYDARZENIEM

formatu. Lapidarny, prosty, trafny język. Precyzja sformułowań niosących niebanalne treści. Specyficzny humor i wrażliwość na świat i sprawy ludzkie. Sceptycyzm i gorzka ironia w stosunku do samego siebie i przypadków życia, do losu, który nie zawsze był najlaskawszy, czasem tak gorzka, że dotykająca tragedii, wyrażona najprościej, jak tylko to sobie można wyobrazić. W sposób niemal klasyczny. A czasem też tekst notatnika brzmi jak białe wiersze. Poeta nie tylko koloru. Także słowa.



JAN CYBIS „U pani Detlaff”. Olej 1969.

rodzinne sprawy, rzadko echa wydarzeń politycznych poddawanych ocenie dość nieraz subiektywnej — to wszystko materia dzienników. I cała ona kręci się jak karuzela wokół jednego pytania: Co to jest sztuka? To pytanie draży go i nęka bez przerwy przez całe życie, całe życie. Wyziera z każdej strony dzienników. Zadawane w różnej formie, na tysiąc sposobów. „Co to jest sztuka? Ja nie wiem — powiedział Dürer. Przeżyłem Dürera już o pięć lat. Tak samo jak on nie wiem. Rola malarza wtedy a dzisiaj bardzo się różni. Dürer chyba lepiej wiedział niż my, do czego służy to, co robi.”

Czytając dzienniki Jana Cybisa należy pamiętać o tym, że pisał je człowiek uparty, twardy w swym żmudnym trudzie tworzenia malarstwa, konsekwentny, dociekliwy i bezwzględnie szczery w swych poczynaniach artystycznych a także współtwórca i realizator kierunku nazwanego kapizmem (od Komitetu Paryskiego). Artysta, który swego czasu (rok 1924), pospół z innymi uczniami Pankiewicza i Weiss, z Potworowskim, Czapskim, Jarema, Nacht-Samborskim, Rudzką-Cybisową, Waliszewskim, wyjechał na tydzień do Paryża, aby obejrzeć w muzeach obrazy i zorientować się w aktualnych prądach, a został 10 lat, przeżył nie tylko fascynującą przygodę artystyczną. Uczestniczył nie tylko w formułowaniu pewnego sposobu malowania. Nie tylko orał pole na którym rozrósł się z czasem przebiegły, miejscami dziły i egzotyczny, a miejscami dość zachwaszczony orzód polskiego koloryzmu. Był także współtwórca określonego stylu życia i pojmowania świata tak bardzo wyróżniających całą grupę kapistów

PLASTYKA

od reszty polskich malarzy, a przejawiających się przede wszystkim w szacunku dla sztuki i zawodu malarza, rzetelnością warsztatu, rozumieniem kultury ogólnoludzkiej, odwiedzaniem muzeów, wyjazdami w plener, ciągłymi kontaktami z naturą itd. Kiedy sobie te wszystkie fakty uświadomimy i poukładamy, z kartek dzienników przemówi do nas nie tylko człowiek i artysta, ale też jakieś odległe (tak się przecież wydaje) „inne malowanie”, „inne obrazy”. Czas martwych natur, jabłek na obrusie, pater, lodzi rybacczych, pół i łak z kawałkami lasów... Czas obrazów malowanych w ten sposób, że wyraźnie „Czuł się jak się wszędzie odzywać czerwienie do czerwieni, szarości do szarości, jak się komasuje podobnie, jak się kontrastuje odrębnie... Kontrast nie tylko dzieli — ale i spaja”. To ostatnie zdanie mogłoby zresztą posłużyć za motto całym notatkom Cybisa.

Na pewno, zresztą może to moje subiektywne odczucie, czytając zapiski Cybisa odczuwa się pewien żal, że ten typ sztuki i ten rodzaj malarzy oddzieli, wydaje się bezpowrotnie. Zapewne, że taka jest kolej rzeczy, zwłaszcza w sztuce. Zapewne. A jednak żal. Pozostały oczywiście obrazy do których można powrócić i należy sądzić, że taki powrót nastąpił wcześniej czy później, bowiem totalny balagan, jaki panuje w sztuce od niejakiego czasu, zmęczył i twórców i odbiorców.

ANDRZEJ GRUN

WSPOMNIENIA

Od 1966 roku publikowałem w „Głosie Robotniczym” stałe felietony. Cykl nosił tytuł „Zapiski kronikarza”. Ta współpraca trwała blisko osiem lat. Zajmowałem się w „Zapiskach” sprawami kultury na wsi i w mieście. Przedstawiałem w nich sylwetki bibliotekarzy, nauczycieli, ludzi szerzej nieznanych, których dopiero się odkrywało po przyjeździe na wies lub do miasteczka. Przeglądałem dzisiaj te notatki. Wiele z nich zachowało swoją świeżość. Nie zwiędziały portrety działaczy. Pozostały w pamięci rozmowy z tymi ludźmi. Najbardziej wzruszające były te, kiedy mój rozmówca, nauczyciel lub bibliotekarz, ujawniał swój stosunek do książki.

Pamiętam spotkanie na Górze św. Katarzyny, które dla pisarzy zorganizował (dziś już nieżyjący) Waldemar Babinicz. Babinicz prowadził wówczas Uniwersytet Ludowy w Rożnicy. Zapraszał nas często do tej, niezapomnianej przez wielu młodych ludzi ze wsi, szkoły. Na tym spotkaniu wystąpiła między innymi chłopka ze wsi Dobra koło Staszowa Recytowała „Nagi bruk” Żeromskiego. A jak recytowała! Byłmy zaskoczeni i wzruszeni.

O PEWNEJ TRADYCJI

Nikt lepiej nie potrafiłby mówić językiem Żeromskiego. Słowa pisarza zamieniały się w jej ustach we własną opowieść. A przecież ta kobieta jeszcze do niedawna nie umiała czytać ani pisać.

Wspominałem w „Zapiskach” także starego poetę ludowego ze wsi Szczawin koło Łodzi, Piotra Stopczyka, który zaraz po wojnie odwiedzał łódzkie redakcje, a między innymi i naszą „Wies”. Przynosił swoje utwory do druku. Niektóre z nich publikowaliśmy. Stopczyk powiadał, że szuka „pisma postępowego”. W siedemdziesiątym roku życia Stopczyk pisał: „Mam za wiele żalu do tych co utrudniali mi dostęp do nauki”. Dzieciństwem tkwi w wiosce pańszczyźnianej, by na starość doczekać się reformy rolnej. Pisz wiersze, wspomnienia, orazanie chóry, czytelnice, biblioteki. Czy można zapomnieć o starym Piotrze Stopczyku? Poecie i działaczowi kultury jednocześnie, postaci tak charakterystycznej dla wsi powojennej? Takim jak Stopczyk można zalecykować wiersz Stanisława „Pięta” „Zyciorys” (drukowany w 1947 roku w 38—39 numerze „Wsi”).

Nie zaprę się, nie zapomnę dawnych dni moich. Zmarznęte drogi, śnieg kosi w sadach liście, a ja za chlebem, za książką bosy w noc idę, bo i w śnie czekam na losy innego przyjsie. Nie tylko ja kochałem moc druku, lot myśli. Nie tylko ja wydzierałem się z nędzy ku dółom, w rówieńczy byliście chorzy od widzeń równie jak ja i w świat wchodzili bez żalu...

Albo czy można zapomnieć takich działaczy, jak owego pamiętnikarza z Sieradzkiego, ze wsi Smugi, autora pracy „Ludzie chcą żyć wygodnie!”, zamieszczanej w tomie „Od chłopca do rolnika”, który pisał: „Jedynym

mym marzeniem jest pracować na swojej gospodarce w swojej wsi, jako inżynier, może jako magister”. Naszemu autorowi trudno jest wyobrazić sobie nową wies, która się tworzy, w której „ludzie chcą żyć wygodnie”. Jedni uciekają do miasta, by tam znaleźć lepsze życie, inni przeciwnie, zostają i tutaj chcą życie poprawić. Między innymi poprzez ożywianie życia kulturalnego. „Poprawiają do życia” nauczyciele, bibliotekarze, młodzi rolnicy. Ich to za Żeromskim można nazwać Siłaczami lub Siłaczkami. Czerniak zaś mówił o nich: ludzie Żeromskiego.

Sporo zapisków poświęciłem pracy bibliotek i klubów przy zakładach przemysłowych w mieście. I na tym terenie spotkałem wielu ciekawych ludzi. Jakże formy przybierała współpraca pisarzy z fabrykami? Przypominam, że piszę o sytuacji sprzed dziesięciu czy piętnastu lat. Ówczesne zarządy ZLP zawierały odpowiednie umowy z włóknarzami (przypominam dobrą współpracę wydziału kultury Zarządu Głównego Włóknarzy, którym wtedy kierował Karol Grabowski, a także z ośrodkiem badawczym z doktorem Józefem Marczaikiem, autorem wielu prac o życiu kulturalnym włóknarzy). W umowach była mowa o „działaniach zmierzających do dalszego rozwoju czytelnictwa wśród załóg”, o szerokiej popularyzacji literatury współczesnej — przez organizowanie wieczorów autorskich, spotkań literackich, prelekcji i innych imprez oświatowych”. Jak te umowy były wypełniane?

W Zakładach 1 Maja zostało zorganizowane Koło Przyjaciół Książki. Członkowie koła zbierali się raz w miesiącu i omawiali książki pisarzy łódzkich. Zostały także wprowadzone „godziny konsultacyjne”, na których omawiano się z udziałem pisarza nowości wydawniczej. Z nowych form, które miały uatrakcyjnić zebrania, wymienić należy (praktykowane wtedy w Zakładach 1 Maja) recytacje wierszy nagranych wcześniej przez aktora (na taśmie magnetofonowej) a także pokazy filmu amatorskiego (autorstwa Józefa Kononowicza) o środowisku pisarzy łódzkich. Niektóre biblioteki (za pośrednictwem pisarza) nawiązywały kontakty z innymi środowiskami twórczymi (aktorami, plastykami, dziennikarzami). Sprawozdanie kierownika klubu przy Zakładach im. Harnama określało współpracę z pisarzem w sposób następujący: „Nie tylko pomoc w organizowaniu spotkań autorskich z innymi pisarzami, ale udział w zebraniach Rady Klubu, pomoc w nawiązywaniu współpracy z Zarządem Okręgu ZBoWiD, poradzniczo w problemach pracy klubowej, kontakty z dyrektcją organizowania ankiet wśród członków klubu”. Kierowniczka Klubu „Fafik” notowała: „Współpraca z pisarzem polegała na pomocy w organizowaniu wieczorów autorskich, spotkań i odczytów, na wprowadzaniu zaproszonych literatów do klubu poprzez uprzednią charakterystykę ich twórczości”.

Pisarze, którzy współpracowali z określonymi bibliotekami, nie ograniczali swoich spotkań do tematyki „własnej”. Zapraszała do swoich placówek innych pisarzy, nie tylko łódzkich. Takimi gościnnymi bibliotekami i klubami były placówki przy Zakładach im. Harnama, Zakładach 1 Maja, Klub „Fafik” i wiele innych. Można było mówić o tworzeniu się pewnego rodzaju wspólnoty pisarzy i działaczy na terenie zakładów pracy. Nie naszkicowałem w tym czasie portretów ludzi z fabryk, żyjących na co dzień z książką.

Zastrzegam się, że nie próbuję dokonywać jakiegokolwiek oceny polityki kulturalnej tamtego czasu. Piszę tylko o współpracy pisarzy z bibliotekami i działaczami kultury. Na tym polu Łódź ma stare i bogate tradycje. I o tych tradycjach nie wolno nam dzisiaj zapominać.

TADEUSZ PAPIER

Twórczość Krzysztofa Smoczyka jest jeszcze jednym przykładem zmian, jakie dokonują się w młodej poezji polskiej. Zarzucając się w końcu lat siedemdziesiątych odciesie od poetyki i programów Nowej Fali — która w swoich najlepszych realizacjach była sztuką walczącą, a w skrajnych przypadkach („Sztuczne oddychanie” Barańczaka) spełniała rolę i zadania nie podejmowane przez

Świadomość porządkowana

ograniczoną zapisami cenzorskimi publicystykę — znalazło wyraz w skupieniu się na szeroko pojmowanej problematyce egzystencjalnej. Charakterystyczna dla tego nurtu jest rezygnacja z interwencji. Ważniejsze dla tej poezji wydaje się być ustalanie kryteriów osobistego wartościowania świata, własnej etyki i wizji rzeczywistości, niż pełnienie roli społecznego i politycznego sumienia narodu.

Źródła pisarstwa Smoczyka leżą w przekonaniu o nieprzeżyłości kultury (sfer, w której poeta czuje się najlepiej) do rzeczywistości. Dobrze obrazuje to wiersz „Niebianie”. Oto mityczne postacie zawieszają na drzewie wiadomości — ynbóle: „W pośpiechu nie zdążono jednak dokładnie oddzielić dobro od zła. Zapomniano między barwą a smakiem owoców odmierzyć sprawiedliwość. Zaskoczeni naszym nagłym przybyciem Niebianie skryli się w krzakach. (...) Więc podobno do dziś siedzą tam i usiłują przekazać nam coś na migi”. Odczucie niepełnego związku między znakiem a desygнатem, między ideą a rzeczywistością, brak wiarygodnych zasad myślenia i postępowania wywołują wrażenie nieautentyczności jednostki. Życie zdaje się jakby podzyswać pod nas, unosi nas swoim nurtem niezależnie od tego, jak bardzo chcielibyśmy je kształtować. Wynika stąd poczucie nierealności, ulotności zdarzeń, niemożność dotarcia u myslem do ich istoty i uzyskania świadomości własnej tożsamości.

Zbudzeni (...) i tacy naprędce skłeceni niedopasowani wymyleni gubiąc części utykając spieszmy biegnijemy nie my.

W owej nierzeczywistości i goryczy nią spowodowanej kryje się doznanie absurdu i myśli o zawieszeniu człowieka pomiędzy wielkością i upadkiem, życiem i śmiercią, ideą i materią. Smoczyk eksponuje stale rozdarcie człowieka pomiędzy jego naturalną skłonnością do autentyczności i harmonii a niszczącą siłą świata. W całej jego twórczości pobrzmiewa sławne zdanie Rimbauda: „prawdziwe życie jest gdzie indziej, nie ma nas na świecie”.

Poezja ta jest odruchem buntu i próbą zachowania prawdy egzystencji. „Pisanie przeżywałem jako czyn, w którym — wyznaje autor — zawiera się moje ludzkie wszystko: goręczy zmagam się z radością, głód z żądzą, uczynieniem, pokora z dumą, ulom-

POEZJA

ności i lęki z pewnością i mocą”. Powaga tych wierszy, ich miejscami przesadne namaszczenie przełamywane jest elementami grotesku, humoru i ironii. Poeta nie stroni od paradoksów starając się zmniejszyć niebezpieczeństwo moralizatorstwa, co jednak nie zawsze mu się udaje.

Poszukując antidotum na swoje lęki Smoczyk próbuje znaleźć schronienie bądź to w akceptacji „mimo wszystko”, bądź też w ucieczce w dzieciństwo. Postać matki w „Porządkach” i jej miłość są jak gdyby ostatnim gwarantem utrzymania spójności i harmonii. Ale odnajdujemy w tym zbiorze i inną postawę; wiersz zamykający tomik nawiązuje wyraźnie do etyki heroicznej Camusa.

W poezji Smoczyka nie ma nowatorstwa w zakresie formy, również wizja bytu ludzkiego nie jest oryginalna. Stanowi przemieszczenie motywów manichejskich z filozofią egzystencjalną. Postawa ta da się sunikowo łatwo zwerbalizować i może ta właśnie cecha stanowić, że po lekturze „Porządków” pozostaje wrażenie niedosytu. W poezji tak poprawnej i rzetelnej brakuje często owej nieokreślonej jakości, która sprawia, że czujemy organie materii wiersza, że nas prowokuje i zastanawia, wyzwalając od obowiązków. Odnalazłem dwa utwory („Płaszcz”, „...” nocami zsuwam z ramion płaszcz oceanu”), które zawierają poetycką wyżywność i swobodę w operowaniu słowem. Tutaj zarzuca się wyraźnie talent Smoczyka. Uwolnione od retoryki łączy w sobie lekkość z intelektualną refleksją. Są bardziej irracjonalne i chyba przez to odmienne od pozostałych.

Trudno żądać od debiutanckiego tomiku, aby zawierał w pełni spójną i oryginalną kreację poetycką. Można jednak wymagać, aby świat tworzony przez poetę dawał się rozpoznawać po sobie tylko właściwych elementach formy i semantyki wiersza. Autor „Niebian” nie potrafił dotychczas ich stworzyć. Programowe utwory obejmują swoją problematyką co prawda szeroki horyzont spraw, ale za to w stosunku do ich ważkości są trochę powierzchowne. Twórczość ta, wyrastająca z niezdyscyplinowania wobec rzeczywistości, przejęła tę cechę niezależnie od tego, jak bardzo Smoczyk z tym walczy. Ciekawy natomiast jest sam zapis postawy człowieka starającego się osiągnąć poczucie autentyczności swojej i świata w przekonaniu, że są one nierozłączne i wzajemnie się warunkują.

JERZY MORKA

Krzysztof Smoczyk, Porządki. Warszawa 1980, 31 stron. Arkusz redakcyjny: Tomasz Soldenhoff, „Pokolenie które wstępuje”. Seria VI.

Podróże zagraniczne nie są dziś łatwe. Cały świat interesuje się Polską. Wszyscy chcą wiedzieć, co też w tej Polsce się dzieje. Mają wprawdzie doniesienia prasowe, ale zawsze żywy człowiek z Polski jest lepszym źródłem informacji, może dlatego, że subiektywnym, że informacje te przekazuje przez pryzmat własnych doświadczeń i przemyśleń. Nasi gospodarze w NRD byli jednak dyskretni. Pytań w zasadzie nie mieli. Gotowi byli spełnić każde nasze życzenie. I spełniali. Uważnie jednak słuchali, gdy mówiliśmy o naszych problemach. Byli ich ciekawi, bo nasze sprawy ich też dotyczą.

Te kilka dni spędzonych w NRD, na zaproszenie gazety partyjnej z Karl-Marx-Stadt „Freie Presse” do uczestnictwa w „Pressefest”, czyli w świecie prasy partyjnej, pozwoliły oderwać się od naszej, trudnej i skomplikowanej rzeczywistości i spojrzeć na ich rzeczywistość, zupełnie inną, choć też nie pozbawioną konfliktów. Nasza podróż po NRD miała jakby trzy etapy.

Karl-Marx-Stadt

„Pressefest” odbywa się jednocześnie w dwu miastach: Karl-Marx-Stadt i Zwickau. Jest to impreza zorganizowana z rozmachem, o ludowym charakterze. Swoiste połączenie ludowego festynu z silnymi akcentami propagandowymi. Główny akcent — to solidarność z narodami walczącymi o wolność. W specjalnym pawilonie sprzedaje się pamiątek na solidarnościowy fundusz. Poza tym pawilony: radziecki, rumuński, węgierski. Festyn zaczął się 3 lipca i trwa do 5. Inaugurację popsuł rześisty deszcz. Nim jednak spadł, starczyło czasu, aby redaktor naczelny „Freie Presse” — Dietmar Griesheimer wygłosił powitalne przemówienie, zagrała orkiestra i wystąpił balet żeński z Bratysławy. Zdażyły jeszcze wystąpić „Słonie” z solistką Ute Freudenbeig, ale już ich zaczął moczyc coraz silniejszy deszcz. Jeszcze próbował śpiewać chór, ale prowadzący imprezę powiedział:

— Nie ma rady, trzeba iść do domu, ten deszcz dziś nie przestanie padać.

I miał rację. Zmokliśmy okropnie. Zmokli wszyscy. Ludzie chronili się pod drzewa, ale i tam dosięgła ich ulewa. Niektórzy szczerze raczali się piwem i było im wszystko jedno. Różnorakie stoiska, dobrze przed deszczem chronione nie przerwały pracy. I komu było wszystko jedno mógł spróbować szczęścia rzucając wiklinowym kółkiem na z dala ustawione fanty, wśród których były i butelki z szampanem i z piwem, albo postrzelać z wiatrówką.

Chciałam i ja szczęścia spróbować, ale któryś z niemieckich kolegów poradził, abym dała spokój, bo wiatrówki nie są najlepszej jakości i trafić będzie trudno. Zagrałam więc w ichniej loterii fantowej, podobnej do tej, jaką robi nasz „Głos Robotniczy”. Rezultat był taki, sam. Byłam tuż obok wygrania „trabant”, ale los był ślepy i nie przewidywał dla mnie wygranej. Może to i dobrze, bo jak bym się wytłumaczyła na granicy, że to los obdarzył mnie samochodem? A tak nie było kłopotów.

Estrada jest ogromna. Po lewej — patrząc z widowni — pod dachem miejsce dla orkiestry. W środku — zespoły rozrywkowe. Po prawej — pod parasolami rozstawiono stoliki i siedzą przy nich przodownicy pracy. Popijają doskonale piwo i słuchają koncertu. Wiele utworów jest

im dedykowanych. Przed estradą ławki odgródzone białym płótkiem dla gości zza granicy i różnych osób zaproszonych na koncerty. Za płótkiem ogromne błonie pełne ludzi. Są jeszcze inne estrady. W letnim kinie po zapadnięciu zmroku wyświetla się filmy. Chyba, że uniemożliwia to deszcz.

Na „Pressefest” przyjechały delegacje zagraniczne: z Usti nad Łabą, w CSRS, z Bacau w Rumunii, Szekszard na Węgrzech, Woigogradu w ZSRR, z Bułgarii i nasza z Łodzi. Są to delegacje z miast i gazet zaprzyjaźnionych z „Freie Presse”, utrzymujące z gazetą partyjną z Karl-Marx-Stadt przyjacielską wymianę. Gospodarze przygotowali

Sumy wydają się albo fascynujące, albo nijakie.

— A ile u was zarabia I sekretarz? — pyta ktoś zupełnie naturalnie.

— Zdziwienie. — Nie wiecie? Bo my wiemy, U nas to zostało ujawnione.

— Zdziwienie i zaskoczenie sięga szczytu.

— My się tym nie interesujemy — wykrztusza ktoś obojętną formułę.

Zmieniamy szybko temat.

— No to jeszcze po piwie i w drogę!

Ale, gdzie jechać? Nasi gospodarze czują się winni, że nie zobaczymy muzeum, choć winy w tym nie ma

ny na konserwację miniaturowego świata.

— Ach, co dziś za czasy — skarży się do siedzących opodal na ławkach. — Dzieciaki wybierają z sadzawki pieniądze, a dorośli to widzą i nie protestują, nie karcą. Okazuje się, że na całym świecie wszyscy solidarnie narzekają na współczesną młodzież.

Ostatni zwiedzający wychodzą. Kątem oka widzę, jak ktoś wrzuca feniga do pustej sadzawki. Jutro białouda kasjerka zdziwi się niepomiernie na ten brak porządku. A może ten ktoś chce tu bardzo wrócić? Fenigiem warto los przekupić.

BOGDA
MADEJ

Spokojny koniec tygodnia

Weimar

Jest kilka miast na świecie, które warto zobaczyć. Jest ich też kilka w NRD.

— Co wolicie — zapytano nas — Weimar czy Dreżno?

Wybór nie jest łatwy. Niektórzy znają już Dreżno. To przeważa decyzję. Jedziemy więc do Weimaru. W końcu to miasto Goethego, Schillera, Liszta, a był tu też Bach i... Mickiewicz.

Autostrada — jak i inne — prawie pusta. Tylko w wyznaczonych miejscach parkują samochody, ludzie siedzą na kamiennych ławeczkach, piją piwo, jedzą. Przy autostradzie nie ma żadnych zajazdów, gospod, restauracji. Autostrada prowadzi z Bautzen (Budżiszyn) do Eisenach. Wjeżdżamy na nią kilka kilometrów za Karl-Marx-Stadt. Miejscami poważnie zniszczona. Kawałkami ruch odbywa się tylko jednym pasmem. Drugie jest w remoncie. Między Gerą a Jeną jedziemy przez zalesiony teren. Niewysokie góry — północna odnoga Lasu Turyńskiego. Piękna przyroda nie naruszona prawie przez człowieka. Nikt tu się nie zatrzymuje przy skraju autostrady, aby pospacerować po pięknych górskich zboczach. Może to i słusznie, ale dziwi.

Jest wolna sobota. U nas w wolne soboty, kiedy jeszcze starczało benzyny, ruch na drogach był wielki. Milicja wraz z „Polskim Radłem” robiła różne akcje, wzywano: „Bądź przeczny na drodze!”. Tu nikogo nie trzeba wzywać. Pustawo. W drodze powrotnej spotykamy kilka maluchów z polską rejestracją, mierznie zdających tranzytem na Zachód. Pozdrawiamy się klaksonami.

Weimar jest piękny. Ale i tu wiadać, że jest wolna sobota. W rynku zamknięty dom, w którym Łukasz Cranach spędził swe ostatnie lata, zmarł w 1553 roku. Wycieczki przyjeżdżające do Weimaru, aby dom ten zobaczyć, odchodzą rozczarowane. Jeśli uprzednio nie zamówili sobie obiadu, ich rozczarowanie będzie jeszcze większe. My na szczęście mamy obiad zamówiony w „Słoniu”. Hotel ten rozstawił na cały świat Tomasz Mann opisując go w powieści „Lotta w Weimarze”. Mieszkał tu najznamienitszy z najznamienitszych: Jan Sebastian Bach, Franciszek Liszt, Ryszard Wagner, Adam Mickiewicz, Lew Tołstoj, Tomasz Mann. Ze współczesnych: Anna Seghers, Michał Szolochow, Pablo Neruda, Lilly Palmer...

Sala jadalna pełna wspaniałości: boazerie, zieleni, światło padające ze szklanego dachu. Dyskretna obsługa i znakomite potrawy. Do tego ciekawe piwo.

Na ulicy Friedricha Schillera cicho szumią kamery, trzaskają aparaty fotograficzne. Przed złotą kamienicą co chwila pojawiają się niewielkie grupki ludzi. To dom, w którym mieszkał znakomity niemiecki poeta. Friedrich Schiller przybył do Weimaru w 1799 roku. Mieszkał tu bardzo skromnie. Ta skromność stała się wyrażną, gdy później zobaczył się dom Johanna Wolfganga Goethego. To już prawie przepych. Goethe miał też dom letni w parku, niedaleko jego dużego domu. Ten dom letni — murowany, piętrowy — niczym nie przypomina dzisiejszych „dacz”. Goethe spędzał tu na pracy wiele czasu. Na ścianie, w jadalni, gdzie stoją ludowe meble, dwie mapy Rzymu. Jedna — Rzymu starożytnego, druga — Rzymu współczesnego Goethemu. W gabinecie dziwny mebel przed pulpitem do pisania. Krzesło (?) przypomina koński grzbiet. Jest mocno wytarte. Wiele godzin spędził na nim Johann Wolfgang Goethe pisząc, a może tylko rozmyślając. Nie jest to krzesło wygodne i być może dlatego zmuszało do myślowego wysiłku. Patrząc na nie przypominam sobie czyjeś powiedzenie, że sukces pisarza zależy w połowie od talentu, w połowie od pracowitości. Ernest Hemingway pisał na przykład na stojąco po kilka godzin dziennie. Może to i sposób. Ale Friedrich Schiller miał przed biurkiem zwyczajny fotel. Może to więc zależy od charakteru i upodobania. Reguł tu raczej nie ma.

Przed letnim domem Goethego maluch ubrany w granatowy kombinizon pier ołowicie wygrzebuje błoto z dziury w asfaltowej alejce. Alejką biegnie dwóch młodych mężczyzn ubranych w stroje gimnastyczne. Na ławce przed domem letnim Goethego drzemie jakaś starsza już wiekiem jejmość. W dole płynie rzeka Ilm, w której w 1778 roku utopiła się młoda dziewczyna. Jej samobójcza śmierć przeszła do historii tylko dlatego, że nastąpiło to na skutek przejęcia się „Cierpieniami młodego Wertera”. Dziś Ilm spokojnie toczy swoje brudne, mętne wody. Nikomu już chyba nie przyjdzie na myśl topić się w jej nurcie, bo najpierw musiałby przezwyciężyć obrzydzenie przed zanieczyszczeniami. Chyba, że chciałby się przed utonięciem... otruć.

Weimar jest piękny i spokojny. Cicho tu, sennie w wolną, lipcową sobotę.

— Chciałabyś tu mieszkać? — pada zmienna pytanie.

I nim zdobywam się na odpowiedź, słyszę:

— Nie. Tu można wspaniale odpocząć, ale mieszkać tu długo nie można. Za spokojnie tu.

Opustoszała autostrada jedziemy w kierunku Karl-Marx-Stadt. Już niedługo ruszymy dalej. Na Budżiszyn, do Nysy Łużyckiej, a później już będzie ciągle jeszcze niespokojna Polska.

Ktoś machinalnie włącza radio. I nagle rozlega się głos spikera warszawskiej rozgłośni:

„wczoraj Sejm dokonał zmian w rządzie. Powołano nowych ministrów...”



